

# TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N<sup>o</sup> 209.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 26 września 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.  
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

## TREŚĆ NUMERU.

Książ Franciszek Siarczyński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Chorwacy i Sławonia, (dokończenie) (z pięcioma drzeworytami). — Kronika sztuk pięknych (dokończenie). — Fotografia w Warszawie. — Scherzo. — Szachy. — Rebus.

### Książ Franciszek Siarczyński.

Wychowaniem, nauką, gorliwością dla sprawy piśmiennictwa polskiego, należał Siarczyński do najświetniejszych epoki tak zwanych Stanisławowskich czasów. Współtowarzysz całego grona uczonych na dworze króla Poniatowskiego, uczestnik wielu ich prac, niezmordowany badacz na polu historii, ma nader zasłużoną sławę w literaturze naszej.

Franciszek Siarczyński urodził się na Rusi we wsi Chruszczewicach w roku 1738, z ojca Ludwika podczaszego nowogrodzkiego, podkomorzego królewskiego i z matki Franciszki z Chrzanowskich. Nauki odbywał w Jarosławiu, po skończeniu których wstąpił do zgromadzenia pijarów polskich w Podolińcu w r. 1775. Zgromadzenie to utrzymywało wszędzie prawie szkoły, długo uważane w kraju za najlepsze. W nich Siarczyński pobierał dalsze ukształcenie i sam, podług przyjętego tamże zwyczaju, uczył w klassach niższych. W Krakowie słuchał teologii, na kapłana zaś wyświęcił się w Warszawie 1783 r., i w obu tamiecznych kolegiach przez lat kilka uczył historii, geografii i wymowy kaznodziejskiej, będąc prócz tego z urzędu kaznodzieją w kolegium królewskim.

Zawód literacki rozpoczął Siarczyński tłumaczeniem z języków niemieckiego i francuskiego, które znał doskonale. Podczas swego pobytu w Krakowie, wydał bezimiennie dzieło *O ogrodnictwie* (1780), będące zbiorem najnowszych wiadomości dotyczących tej nauki, którego użyteczność najlepiej przekonywa kilkakrotnie później przedrukowanie. Tamże ogłosił *Uwagi na kosztą pogrzebowe* (1784), mające na celu poskromienie zbytecznych w tej mierze wydatków i przełożył z niemieckiego *Listy moralne* w 2 tomach, które się czterech wydań doczekały. W Warszawie drukował trzytomowy *Dykcjonarz geograficzny* Vosgie-na, dodawszy ze swęj strony liczne objaśnienia i opisy dotyczące wielu miast i prowincyj polskich, tudzież

tłumaczył głośną wtedy i bardzo czytana *Historię polityczną Raynala* 1783. Tym sposobem młody, pełen zdolności autor, pałający żądzą oświecenia, zwrócił na siebie oczy przełożonych, a niebawem i samego króla, który garnął na swój dwór uczonych i szczególnie względy miał dla pijarów. Jasnieli też wtedy pomiędzy nimi ludzie prawdziwego światła, jak np. Teodor Waga historyk i geograf, Osiński fizyk, Skrzetuski prawnik, Kopczyński gramatyk i inni, będący wzorem dla Siarczyńskiego i bodźcem do sprostania

przyszłych jego literackich zatrudnień, odtąd bowiem badaniom historycznym zaczął się gorliwiej poświęcać, a następnie zupełnie się im oddał.

Obecny zbliżka pamiętnemu czteroletniemu sejmowi, którego brat jego Antoni był sekretarzem i na którym on, umiejący stenografią, dla króla mowy posłów spisywał, nietylko miał sposobność obcowania z wielkimi mężami tej epoki, ale ważne pod jego okiem toczące się rozprawy, miały wpływ na ukształcenie serca i umysłu Siarczyńskiego, czego w późniejszym swém życiu na obranej drodze dał wielokrotne dowody. Wtedy z polecenia monarchy wygotował *Krótką wiadomość fizyczną i historyczną o soli* (1788 r.), za co otrzymał medal złoty „Merentibus.” Przytém wydawał bezimiennie rozmaite polityczne i krytyczne pisemka, których już dziś wśród wielkiej liczby podobnych pism okolicznościowych, z owego czasu pozostałych, rozeznac nie można. Do takich należą broszury wielkiego wówczas rozgłosu, jak: *Zakres nad zaciekami wszechnicy krakowskiej*, krytyka tamiecznego systematu edukacji, *Pochwała Stanisława Szczęsnego Potockiego* i t. d. Podobnie na rozkaz króla ukończył rozpoczęty dawniej przez Obermeyerę i Skrzetuskiego *Zbiór traktatów* od r. 1648 zaszłych, w 5 tomach, które we trzy lata później, mając sobie dostarczone z archiwum królewskiego, dopełnił 2 tomami obejmującymi traktaty konwencyjne, handlowe i graniczne, od 1764 do 1791 r. zawarte.

Łaski króla i zyskanego u wielu możnych osób szacunku nie użył Siarczyński na wyniesienie się i nad dostojności które mógł osiągnąć, przeniósł skromną użyteczność. Chociaż więc starał się usunąć od obowiązków zakonnych i trudów powołania nauczycielskiego, to jedynie dlatego, aby w spokojności wiejskiej oddać się wyłącznie ulubionej nauce historii krajowej. Otrzymałszy w r. 1789 z Rzymu uwolnienie od szlubsów zakonnych, prosił króla o probostwo w Kozienicach, a dostawszy takowe, usunął się natychmiast ze stolicy i tam, dzieląc czas pomiędzy obowiązkami pasterza parafii, a zatrudnieniami uczonego, wygotował i ogłosił drukiem *Geografią powszechną, z dołączeniem geografii astronomicznej*, w 3 tomach, której tom 4, z powodu wypad-



Książ FRANCISZEK SIARCZYŃSKI. (Podług rysunku Preka).

im w chwale, pracy i zasługach. Przyjęty do ich grona na dworze Stanisława Augusta, miał także sposobność zbliżyć się i zaprzyjaźnić z Naruszewiczem, Piramowiczem, Ignacym i Stanisławem Potockimi i Tadeuszem Czackim, których prace, mianowicie Naruszewicza i Czackiego, niemało wpłynęły na kierunek

ków krajowych, nie wyszedł z druku, obejmować zaś miał obszerne i dokładne opisanie Polski, we względzie historycznym, fizycznym i politycznym. Przed kilkunastu laty część tego tomu, zawierająca opis powiatu radomskiego, w rękopiśmie odkryta, ogłosił w roku 1847 w Warszawie T. Lipiński. Jak zaś przytém

szczerze dobrać swoich parafian się zajmował, dowodzi jego staranie o zaprowadzenie szkoły i szpitala w Koźmicach, na które część własnych dochodów obracał Stanisław August, dopomagając tak zacnemu zamiarowi, nakazał rządzącej ekonomii, aby z jej dochodów corocznie na ten cel 400 czerwonych złotych do rąk ks. Siarczyńskiego wypłacano. Wtedy dwaj biskupi obdarzyli go jednocześnie dostojenstwami kościelnymi, mianując Okecki kanonikiem warszawskim, a Krasicki warmińskim.

Straty jakich doznał w Koźmicach przez klęski wojenne i pożar przypadkowy, jak również chęć zbliżenia się do żyjących naówczas rodziców, skłoniły go do przyjęcia ofiarowanego sobie od księżny Lubomirskiej probostwa w Łancucie. Świetny dwór tej pani, głośny w całym kraju, nie podobał się jednak Siarczyńskiemu, poznał że czas pozostający od dopełnienia powinności kapłana-pasterza zabierały zabawy, odejmując go naukom. Dla tej przyczyny przeniósł się w końcu 1804 r. na równie korzystne co do dochodów probostwo w Jarosławiu i tam przez lat 23 zostając, pełnił obowiązki dziekana foralnego i proboszcza. Tu dostatni chlebem opatrzone, mając w bliskości bogatą bibliotekę w Sieniawie, rozpoczął w obszernych rozmiarach literackie swoje prace; wyszukiwał, zbierał, porównywał zabytki i ślady dawnych dzieł naszych, i cały oddany badaniom historycznym, zgromadził te skarby wiadomości do dzieł Polski należące, których część mała w pismach jego stała się własnością powszechną, większa zaś w notatach lub niedokończonych dziełach w rękopismach pozostała. Tu ogłosił drukiem *Opis historyczny i statystyczny miasta Jarosławia* (1829). Wygotował także obszernie dzieło, które sam uważał za chlubną dla siebie pamiątkę, jaka po nim krajowi zostanie, to jest *Dzieje narodu i kraju Rusi południowo-zadnieprskiej* w 3 tomach, zostające dotąd w rękopiśmie, dzieło obejmujące opis tych ziem pod wszelakim względem, historycznym i fizycznym, w najrozleglejszym znaczeniu. Sądząc z rozdziałów, które autor w wyjątkach po czasopismach drukował, praca ogromna i niepospolitej na swój czas wartości, lecz dziś przy tylu nowych odkrytych źródłach już przedawnieniu uległa. Podobny los spotkał inne jego także znaczne dzieło pod nazwą *Słownik historyczno-statystyczno-geograficzny królestwa Galicji* w 3 tomach, z których tom pierwszy opisywał w powszechności Galicję, zaś drugi i trzeci obejmowały wszystkie miasta i włości tego kraju w szczególności, porządkiem abecadła ułożone. Zamysłał Siarczyński o wydaniu takiegoż słownika całej dawnej Polski, do którego zebrane i spisane liczne wiadomości w notatach po nim pozostały. W Jarosławiu wypracował najgłówniejsze swoje historyczne studium o panowaniu Zygmunta III, do którego pobudziły go dzieje tego monarchy przez Niemcewicza wydane. Siarczyński ogłosił naprzód w Pszczole lwowskiej swoje zdrowe lecz słuszne i sprawiedliwe uwagi nad temi dziejami, a następnie dotknięty urazą jaką obudziła jego śmiałość krytykowania ulubionego i zkadinaż zasłużonego autora, wziął się do napisania tychże samych dzieł, aby pokazać czego tamtych brakuje i jak podług jego pojęcia rzecz traktować należało. Tym sposobem powstał *Obraz wieku panowania Zygmunta III*, w którym w oddzielnych rozdziałach skrzył stan obyczajów, religii, oświecenie, towarzyskie pożywanie, moc rządu, jego wady, związki z obcymi, pomyślność i klęski publiczne za tegoż panowania. Nadto, jako dopełnienie, osobno ułożył w abecadłowym porządku życiorysy osób w tejże epoce żyjących, znamienitych przez swe czyny w pokoju i wojnie, przez cnoty lub występki, dzieła piśmienne, zasługi i t. d. Obejmując całość w tak szerokim zakresie, widzimy że Siarczyński, wyższy od współczesnych sobie historyków polskich, pojmował dzieje swego kraju ze stanowiska wznioślejszego. Wcześniej także od innych zrozumiał tę prawdę, że pisząc historię narodu, nie da nikt prawdziwego obrazu jego, jeżeli nie będzie miał na uwadze życia umysłowego. Tę zatem stronę, nietkniętą przedtem u nas, pierwszy wydobyl na jaw Siarczyński i w długim panowaniu Zygmunta III starał się ją troskliwie przedstawić, a lubo zadaniu temu nie zewszystkiem odpowiedział, już sama myśl jest niemałą jego zasługą.

Okoliczności nie pozwoliły mu tej pracy za życia ogłosić w całości i tylko ostatnia jej część, to jest życiorysy, drukowane były w 2ch tomach we Lwowie. Reszta właściwego tekstu wyszła już po jego zgonie, w znacznych także przerwach, gdyż tom pierwszy drukowano w Poznaniu 1843 r., drugi zaś tamże dopiero w r. 1858 na świat się ukazał.

Ze stanowiska dzisiejszego stanu nauk historycznych zapatrując się na to dzieło, przekonywamy się że wzorem dla Siarczyńskiego był znany Woltera Wiek Ludwika XIV, lecz w wykonaniu i pod względem

krytyki dużo jest do powiedzenia. Autor nie mógł darować Niemcewiczowi jego zasad i uprzedzeń, ale sam nie był od nich wolny. Tamten wiele złego przyszedł skutkom panowania Zygmunta III, gdy dla Siarczyńskiego ta sama epoka, która istotnie tylu mężów znakomitych w kraju wydała, była ideałem. Nie ukrywał on wprawdzie złego, ale nie dopatrywał jeszcze upadku narodu. Obfite mając źródła pod ręką, czytał wiele, naukę miał ogromną, ale jednak zanadto spuszczał się na swoją pamięć, która go częstokroć zawodziła; ząd przypuszczenia brał za pewność, miewał ludzi i zdarzenia, nie sprawdzał dat, na chronologię nie miał względu. Ufać mu więc we wszystkiem nie można, chociaż dobra jego wiara podejrzeniu nie ulega. Tylko, powtarzamy, rozbiór krytyczny go żadną miarą nie wytrzyma, albowiem co krok trafia się na błąd, który całą wartość tak wielkiej i mozolnej pracy odejmuje. Pomimo tego wszystkiego, gdy dzieło to faktycznie posunęło w swoim czasie historyczne wiadomości, dotknęło żywotnych przedmiotów, wskazało i utworzyło do następnych badań drogę, zostanie ono zawsze chlubą naszej literatury.

Temi badaniami zajęty, nie miał zamiaru opuszczać Jarosławia, lubo mu rozmaite godności kościelne ofiarowano, gdy go Henryk książę Lubomirski na dyrektora Biblioteki Ossolińskich powołał do Lwowa. Wielu sądziło że Siarczyński nie przyjmie bezpłatnej a tak mozolnej posady i w późnych będąc latach, nie podejmie się ogromu zatrudnienia przy zakładającym się dopiero instytucie. Zawiódł ich mniemanie Siarczyński, nie wahając się ponieść ofiary, której wymagały kraj i nauka. Sędziwy starzec przyjął z ochotą to brzemie i z całą gorliwością zajął się przeglądaniem i formowaniem katalogów, dozorem budowy i wydawaniem Czasopisma, którego, od r. 1828 do śmierci, był głównym redaktorem, a nawet po większej części swemi własnymi rozprawami takowy zapełniał. Wszystkie te prace, zdolne komu innemu cały czas zaprzęgać, nie przerwały bynajmniej innych Siarczyńskich robót. Obok nich układał nowe dzieła i postępował w swoich historycznych poszukiwaniach.

Był Siarczyński zdawna członkiem warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk; w r. 1828 Towarzystwo naukowe krakowskie przyjęło go podobnie do swego grona.

Tak zacnego kapłana, gorliwego obywatela i uczonego, pragnęły i stany galicyjskie mieć w liczbie swoich reprezentantów; skoro więc ułatwione zostały potrzebne formalności, zaraz na pierwszym sejmie galicyjskim padł nań prawie jednomyślny wybór na deputata stanu duchownego.

To publiczne uznanie jego zasług zachęciło go niezmiernie do dalszej pracy. Zamysłał on wtedy złożyć probostwo jarosławskie, aby go nie od nowych powinności w stanach i bibliotece nie oderwało, gdy wśród nadziei powszechnych, które kraj i nauki w Siarczyńskim pokładały, dnia 7 listopada 1829 roku pracującego przy pulpicie nagle śmierć dotknęła.

Rozgłoszona wieść o tym zgonie wzbudziła żal powszechny w kraju. Pogrzeb też odbył się z niezwykłą wtedy we Lwowie świetnością, a wdzięczna młodzież na barkach swoich poniosła do grobu jego zwłoki.

## Kronika tygodniowa.

Zeszyty tygodniowa kronika oddana już została do druku, kiedy doszła nas wiadomość o śmierci Józefa Korzeniowskiego. Pomimo więc najlepszej chęci, musieliśmy wspomnienie o nim do dzisiejszego numeru odłożyć.

Niewielu już mamy pisarzy żyjących, których zaranie życia sięga schyłku zeszłego wieku. Korzeniowski był jednym z takich. Długiej pamięcią swoją zasięgał on epoki, a jeżeli prawdziwe życie jest pracą, zmarły autor Dymitra i Maryi wcześniej bardzo zaczął. W chwili kiedy Brodziński, Mickiewicz, Malczewski, przetwarzali piśmiennictwo u nas i zwracali jęku kierunkowi jakim później poszło, Korzeniowski, jakkolwiek równie ich wiekiem, nie wybrał jeszcze był drogi: pociągała go i ta i tamta strona. Pisał wprawdzie już wiele, ale prace w owym czasie podjęte później dopiero miały ujrzyć światło dzienne. Wpędził jednak opatrzył się. Uspokojenie, przekonanie, świadomość o prawdziwym ubóstwie literatury naszej dramatycznej, pociągały go do tej gałęzi piśmiennictwa, a Szekspir stał się dlań niedościgłym wzorem, do którego zbliżenie się młody autor polski począł uważać jako szczyt życzeń i prac swoich. „Zaczynamy wszyscy od naśladownictwa, powiedział znakomity krytyk, z tą tylko różnicą, że geniusz orłem swym skrzydłem wznosił się ponad dzieło które mu za wzór służyło, talent, doścignawszy je, odmienne sobie toruje drogi,

a mierność pozostanie zawsze niewolniczą tylko i bladą kopią.“

To samo już że Korzeniowski w początku zaraz wybrał sobie tak olbrzymi wzór jak Szekspir, dowodzi że czuł w sobie prawdziwą krzepkość talentu i tę żywotność pióra, której nawet wiek w nim nie osłabił, bo do ostatniego prawie dnia życia pracował ciągle, snuł nowe plany, obmyślał dzieła wielkich rozmiarów.

W dramatycznych jednak utworach jego wrażenia młodości przetrwały aż do późnego wieku. Byli tłumacze Szekspira, co starali się uprościć go, udostępnić dla ogółu, przyswoić, odebrać mu wszelką szorstkość i zastosoować do czasowych wymagań sceny. Umiejtna krytyka osądziła już jak należało te karłowate wysilenia mierności, usiłującej nagiąć wszystko do miary swojego pojęcia. Korzeniowski zaś, fanatycznie rozgorączkowany ideałem swoim, w pierwiastkowych zwłaszcza sztukach jakie wyszły z pod jego pióra, naśladował, przesadzał nawet błędy Szekspirowej formy. Olbrzymia trudność zawodu do którego się rzucił, odrazu stanęła przed nim. Nie był on z tych którzy dziełom naszym zaprzeczają żywiołu dramatycznego; znał owszem dobrze nieoszacowane skarby poezji jakie one w sobie zawierają, ale znał także trudne, niepodobne prawie do usunięcia zawady, które każdemu pracownikowi pragnącemu czerpać z dzieł naszych, a tém bardziej dramaturgowi, stanąć muszą na zawadzie. W czasach w których pisać począł, zawady te stokroć jeszcze twardsze i silniejsze były, aniżeli obecnie. Rydół dobrze zrozumianego dziejopisarstwa nie przedarł się jeszcze wtedy do skarbów tego rodzinnego kruszcu, żadna epoka nie była obrobiona, żadna postać rozświetlona jak należy; a co do obyczajów, zwyczajów, mowy, ubiorów, sprzętu, co do całego tego przyboru dramaturga, który, według nowszych wymagań sceny, stanowi główną podstawę historycznego kolorytu, te dzisiaj jeszcze bardzo niedokładnie znane, wówczas były prawdziwą *terra incognita*. Dodajmy do tego wiele innych trudności, które czytelnicy łatwo sami sobie dopełnią, a poznamy dlaczego młody dramaturg cofnął się przed niepodobnem prawie do spełnienia zadaniem rodzinnego historycznego dramatu. Główny więc pokład gruntu na którym pracował stanowiły dramaty obyczajowe, albo osnute na przedmiotach z obcych dzieł branych. Komedia u Korzeniowskiego stała się dopiero owocem prac dojrzałego wieku, i rozumiał on w tém dobrze wymagania trudnego zawodu jakiemu się oddał. Młodzieńczy umysł, zbyt poetycznie na świat patrzący, zbyt idealne snujący przed sobą obrazy, niezdolny zwykłe do utworzenia prawdziwej komedii, która jest wyrazem rzeczywistego życia, jego rozbiorem i krytyką. Żeby dojść do tego prawdziwego wieńca prac twórczych, trzeba umieć trzeźwo patrzeć na życie, trzeba potrafić zdawać sobie sprawę z tego wszystkiego co się w okół nas dzieje i bezstronnym sądem kareć zdrożności i wady ludzkie.

Jako dramaturg Korzeniowski, jedyny prawie w tym peryodzie co pisał, a przynajmniej jedyny co pisał praktycznie dla sceny, (bo Magnuszewski, Słowacki nawet, pomimo orleń siły swojego talentu, nie tworzyli właściwie dramatów do przedstawiania), Korzeniowski mówię zasługuje na szczególniejszą uwagę przyszłych krytyków i sumienny rozbiór. W dziełach po nim pozostałych widoczny brak tego, co u pisarzy dramatycznych nazywa się inicjatywą. Był to talent zapładniający się czytaniem, studiami, wrażeniem zkadinaż odbieranem. I dlatego zarzucano Korzeniowskiemu, że w przedmiotach jakie sobie do oryginalnych prac dramatycznych obrał, zbyt mało jest oryginalności. Zarzut słuszny poniekąd, każda bowiem prawie ze sztuk jego znajdzie sobie pokrewną w szeregu prac europejskich pisarzy. Ale nie stanowi to jeszcze powodu do potępienia autora. Najznakomitsi geniusze, Szekspir, Moliere, Kornel, postępowali tak samo; nie tylko pomysł, sceny nawet całe bywały w nich wyrywane z dzieł takich, które już dziś poszły w zapomnienie, zaćmione niespożytych blaskiem dzieł genialnych naśladowców. W obrobieniu utworów jakie brał pod pióro, Korzeniowski był więcej artystą niżli poetą. Twórczość w drugim rzędzie stała u niego, a obrobienie szczegółów zaćmiało pierwszy pomysł, jakkolwiek on był i zkadłówek wzięty. I ta właśnie artystyczna staranność szczegółów stanowi główną zaletę prac Korzeniowskiego. Zdawałoby się że talent tego rodzaju większe daleko w czytaniu aniżeli na scenie powinien mieć powodzenie. Działo się jednak zupełnie przeciwnie. Korzeniowski posiadał w wysokim stopniu instynkt sceniczny, na którym zbywa wielu nawet genialnym autorom. Niewiadomo dlaczego, dzieło w którym czytelnik odkrywał mnóstwo wad, brak całości i dobrze obmyślanego węzła dramatycznego, często podwójną i potrójną akcją, lub zbytne porzrywanie scen, nużące uwagę, toż samo dzieło na de-

skach teatralnych rosło, odmieniało się do niepoznania i olbrzymiało w prawdziwie dobrze pojęty sceniczny utwór. Nie przeszkadzały temu ani zbyt częste zmiany dekoracji, ani rozciągłe monologi, ani ustępy które w czytaniu wydawały się przesadne. Takich utworów Korzeniowskiego wiele, bardzo wiele moglibyśmy wymienić. A winien on to był właśnie temu artystycznemu obrobieniu szczegółów, które na scenie uwydatniały się, wchodziły w życie i porwały za sobą widzów.

Nietylko w dramatach, ale i w komediach Korzeniowskiego toż samo czuć się dawało. Świeżo mamy w pamięci komedię *Majatek albo imię*, która na konkursie dramatycznym pierwszą uzyskała nagrodę. Wraz z wielu innymi zdawało nam się że to jest jedna z najsłabszych prac Korzeniowskiego, że w żadnym razie nie zasłużyła ona na odznaczenie, jakie z wyroku sędziów konkursowych uzyskała.

Zdarzyło nam się kiedyś, że w jednym z naszych miast prowincjonalnych, zjechaliśmy się z towarzystwem artystów krakowskich, które jakkolwiek dobrane uorganizowane i liczące wiele indywidualności zdolnych i utalentowanych, żadną jednak miarą różnić się nie mogło ze sceną warszawską, dla której wyłącznie dzieło Korzeniowskiego było napisane. Itam w szopie, wprędce na teatr przerobionej, z podróżnymi dekoracjami i ubiorami, że wszelkim tym tuzinkowym przyborem, który przedstawieniu odejmujemy-le wartości, widzieliśmy po pierwszy raz ową sztukę przybraną w ciało na scenie. I zdumieliliśmy się widząc w niej piękności, jakich ani domyślaliśmy się dotychczas, obejmując daleko lepiej, daleko dokładniej całość, cel jaki sobie autor założył i sposoby jakimi do dopięcia go podążał. Wróciwszy do domu, jeszcze raz przeczytaliśmy sztukę, i wyznajemy że inne zupełnie w naszych oczach przybrała wówczas rozmiar. Znikły wszystkie chropowatości, zatarły się wady, a charaktery osób wchodzących do sztuki, wybitnie-jąc coraz bardziej i odskakując od tła ogólnego, przedstawiały nam wyborny obraz z życia miejscowego wzięty.

I dlatego, według naszego zdania, utworytakiegopak Korzeniowski autora, wychodzą poza obręb obecnej chwili, czekają sądu od przyszłości; więcej powiemy, nie lękają się go, w każdym razie bowiem stanowią one jeżeli nie epokę, to przynajmniej dowód jakiegoś widocznego zwrotu w szeregu prac piśmiennictwa naszego.

Znalazł się pewien u nas krytyk, który jeżeli nie zupełnie słuszne, to przynajmniej dosyć dowieczne o talencie Korzeniowskiego wyrzekł zdanie:

„Kiedy czytam, mówię on, jego powieści, to zdaje mi się że powinien wyłącznie tylko dramata pisać; kiedy zaś znajduję się na przedstawieniu któregoż sztuki teatralnych, gotówem sądzić że talent jego jest właściwie powieściopisarski.“

Jest w tem cokolwiek prawdy, powieści bowiem Korzeniowskiego odznaczają się wszystkie prawie silnym zawiązaniem interesu, a zresztą i żywo poprowadzoną akcją. Zdawałoby się że każda z tych powieści najdoskonalej dałaby się na utwór sceniczny przerobić; jednakże tak nie jest, i samemu Korzeniowskiemu pod tym względem nie udawały się próby. To wszakże pewna, że powieści Korzeniowskiego były popularniejsze od dramatów, chociaż właściwa jego zasługa pisarska w tych ostatnich leży. Czuliśmy to on dobrze, i dlatego zawsze w chwilach trudniejszych, wtenczas kiedy przychodziło mu walczyć o utrzymanie uzyskanego już w piśmiennictwie stanowiska, wracał on do komedii i dramatu, uważając je jako właściwą sobie broń, jako najpotężniejszą dźwignię, za pomocą której współzucie publiczne pozyskać zdoła. Utwory jego bardzo późno dopiero zaczęły być przedstawianymi w teatrze naszym, a i te przedstawienia, uwarunkowane były tysiącami trudnościami. Jeżeli więc Korzeniowski rzucał się do powieści, a i w tej także gależy piśmiennictwa nie miałą zasługę położył, to nie dla tego ażeby chciał zaprzeczać własnemu swojemu talentowi wyrażnie dramatycznego kierunku, ale dlatego że pragnąc działać, i przypatrywać się sam owocom swojej działalności, pojmował to dobrze, iż dzieło sceniczne które niemożę się doczekać przedstawienia, traci całą niemal wartość i chybła celu dla którego napisane zostało, że to ciało nieożywione duszą, że to materya w którą jeszcze Boże technienie nie weszło.

Może przyjdzie czas, w którym cieszyć się będziemy wielką liczbą pracujących na polu piśmiennictwa; ale dzisiaj chwila ta daleką jeszcze zdaje się od nas. Prawdziwych i utalentowanych pracowników bardzo jest niewielu, a szczupły ten zastęp ciągle umniejsza się jeszcze. Każdy też ubytek tem większą stanowi stratę dla piśmiennictwa, im trudniej powstała ztąd próżnia zapelnąć się daje. Śmierć Korzeniowskiego,

jako autora dramatycznego i powieściopisarskiego, nie małą zrzuciła szczerbę w szeregu literatów krajowych; dzieła jakie pozostawił powinny być ocenione bezwzględnie, więc nie dziś pora sądu stanowczego o nich wydawać.

Donoszą nam o strasznej klęsce, jaka dotknęła włoński miasto Międzyrzecz, w powiecie rowieńskim. Całe prawie to miasto stało się w jednym dniu państwą płomieni. Pożar był tak gwałtowny, że nawet murowanych domów nie można było ocalić. Wszystko uległo zniszczeniu, domy, sprzęty, dobytek cały. Rzeczy które poskładano na środku obszernego rynku, w nadziei uratowania ich od ognia, zapalały się same z siebie i w jednej chwili obracały się w popioł. Na domiar klęski upał w tym dniu był tak wielki, że, jak pisze korespondent, dwie te palące siły, rozrzedzając i wysuszając powietrze, uczyniły je zabójczym dla płuc do tego stopnia, że ludzie, nie mając czem oddychać, padali po ulicach i zaledwie poświęcenie się silniejszych lub nowoprzybyłych zdołało ocalić kilka tego rodzaju ofiar. Do dwudziestu mieszkańców znalazło grób w płomieniach.

Cała prawie część miasta dotknięta pożarem, zamieszkaną była przez ludność izraelską. Ludność ta przywiedziona jest do ostatniej nędzy. Pomimo to korespondent dziwi się spokojnemu, bez wyrzekań ze strony tych biednych ludzi poddaniu się klęsce jaka ich dotknęła. „Żadna skarga, pisze on, nie wyszła z ust cierpiących, żaden krzyk rozpaczliwy nie przebrwał cmentarnej ciszy pogorzeliśka. Prawdziwie zaś rozrzucającymi były zabiegi jakim każdy z Izraelitów oddawał się, żeby nazajutrz przypadający wieczór przedświatny podług zwykłych uświęcić obrządków, żeby znaleźć choć najmniejszy kątek dla ustawienia przepisanych zakonnym prawem palących się świeczek, żeby z piersi też same uroczyste hymny na chwałę Bożą i prośby co zwykle wydobyć. Więc też mury klasztornych oficyn, zapelnione chwiłowo pogorzalcami, przedstawiały w godzinę sabatu najuroczystsze widowisko pokornego uczczenia Istoty Najwyższej, nawet w chwili kiedy jej doświadczająca ręka zaciężyła nad modlącymi się.

„Nie mogę tu pominąć, dodaje korespondent, pomocy jaka im od ich wyznawców i od chrześcijan przybywała z sąsiednich miasteczek Korca, Tuleczyna, Annopola, Ostroga. Z wiosek również sąsiednich ciągnęły bezustannie wozy z wiktuałami, chlebem i zbożem, a transport ten nie ustaje jeszcze dotąd, chociaż tydzień już przeminął od tej strasznej klęski.“

W przytoczonym tu ustępie, oprócz rzeczywiście godnego pochwały zdania się na wolę Bożą dotkniętych pożarem Izraelitów, widzimy także dowód prawdziwie chrześcijańskiego miłosierdzia ze strony księży tamiecznych, którzy zabudowania swoje klasztorne oddali pogorzalcem na schronienie i na odprawienie nawet zwykłego nabożeństwa.

Wspominaliśmy już przed pewnym czasem w kronice tygodniowej o starozakonnym ratującym z narażaniem życia dobytek kościelny katolicki. Pisaliśmy także z kolei o poświęceniu się ks. kapucynów w Lublinie, którzy podczas pożaru wynikłego w części tego miasta przez Izraelitów zamieszkałej, ratowali bez względu na własne bezpieczeństwo ich rodziny i majątki. Dziś do tych dawniejszych chwalebnych czynów nowy fakt przybywa. Radziłbyśmy mieć ich jaknajwięcej do zaznaczenia.

Jeden z czytelników Tygodnika zadaje mi listowne zapytanie, dlaczego kupiony w sklepie przedmiot jaki zagranicznego wyrobu, na którym się opłaca materyał i robota zagranicznego przemysłowca, kosztą sprowadzenia, clo i zysk konieczny kupca, dlatego mówię, jeżeli rzecz nabyta ulegnie jakimkolwiek zepsuciu lub uszkodzeniu i odda się ją do naprawy do tutejszego rzemieślnika, za tę naprawę dwa razy tyle trzeba płacić, aniżeli przedmiot w sklepie kosztował? Tak się naprzykład dzieje z laskami w sklepach zakupionymi, z których kiedy skówka zleci, dorobienie nowej skówki kosztuje więcej od samej laski; tak się rzecz ma i z różnemi innemi wyrobami galanteryjnymi, skoro się uszkodzą.

Nie umiając z zupełną sumiennością zozstrzygnąć tej kwestyi, oddaję ją pod światły sąd czytelników, z których może kto zechce mnie w tym zawiłym przedmiocie objaśnić.

## PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

25 września.

Jeżeli ostatnie nowiny amerykańskie sprawdzą się drogą urzędową, to kwestya meksykańska wejdzie w nową, całkiem niespodzianą fazę. Rzeczypospolite

Ameryki środkowej protestują przeciw wyprawie francuskiej i zaprowadzeniu nowych rządów w Meksyku. Guatemala, San Salvador, Honduras, Nicaragua i Costa Rica, liczące zaledwie 2,500,000 mieszkańców, obawiając się o przyszłe swe losy, w razie ustanowienia cesarstwa meksykańskiego, postanowiły podobno podać rękę Juarezowi, sprzymierzyć się z Lincolnem i wspólnymi siłami wystąpić przeciw projektom francuzkim. Nie też dziwnego że arcyksiążę Maksymilian nie kwapi się z przyjęciem korony, przedstawiającej w gruncie rzeczy więcej kłopotów i niebezpieczeństwa, aniżeli korzyści i sławy. Mémorial diplomatique zapewnia, że arcyksiążę zażądał poparcia rządu angielskiego; inne dzienniki donoszą, że deputacya meksykańska uda się za dni kilka do przyszłego swego monarchy; a jednak cała ta sprawa dotąd pozostaje w zawieszeniu i niejedną rodzi wątpliwość. France zapewnia, że w razie odmowy arcyksięcia, deputacya nie przedstawi nowego kandydata do tronu, a Meksyk urządzi się stanowczo pod protektorem Francyi. Tymczasem Monitor donosi z Vera-Cruz, że Juarez, opuszczony przez wszystkich stronników, nawet przez Ortega, niedługo na gruncie meksykańskim zabawi. Cesarz Napoleon pozostaje w Biarritz. Poselstwo an-namickie doznało najświetniejszego przyjęcia; dzienniki wątpią wszakże aby rząd zgodził się na ustąpienie zdobytych prowincyj, za jakiegokolwiek piędźne wynagrodzenie.

Wszystkie pogłoski o zmianach ministerjalnych w Wiedniu ucichły. Hr. Rechberg zostaje przy swém ministerjum, a książę Meternich nie będzie odwołanym z Paryża. Więści o pojednaniu się korony z Węgrami były także wybrkiem dziennikarstwa, które narobiło wiele wrzawy, a teraz kapituluje i głosi że Węgrzy z własnego popędu poczynią kroki pojednawcze. Rzecz prosta że i to pobożne życzenie ad calendas graecas odłożyć wypadnie. Zato kwestya szlezwigiska więcej niż kiedykolwiek roznamiętnia prasę niemiecką. Większość oświadcza się za egzekucją związkową, nie bacząc na trudność wykonania i połączone z nią niebezpieczeństwa. Prasa angielska stanowczo się opiera egzekucyi. Na posiedzeniu sejmiku duńskiego, d. 24 września, minister wojny przedstawił różne rozporządzenia dotyczące energicznego rozwinięcia duńskich sił morskich i lądowych, stosownie do obecnych okoliczności. W Prusiech umysły głównie i zajęte wyborami do przyszłej izby poselskiej.

Drugi brat cesarza, arcyksiążę Ludwik, niegdyś namiestnik galicyjski, zenić się ma z księżniczką brazylijską, donną Izabellą Krystyną. Ponieważ cesarz Don-Pedro nie ma męskich potomków, a prawo salickie nie obowiązuje w Brazylii, przeto księżniczka Izabella może objąć tron po zgonie ojca i zapewnić tym sposobem mężowi tytuł cesarza.

W Ameryce nie stanowczego nie zaszło. Flota północna bombarduje bez przerwy Charleston, szczególnie przy pomocy nowej baterii sprowadzonej przez generała Gilmora. Zdaje się że federaliści lada dzień staną się panami twierdzy, wątpić wszakże należy aby wraz z upadkiem Charlestonu, separatysty zupełnie przegrać mieli swą sprawę. Niema wątpliwości że obie strony spragnione są pokoju, a nawet i prezydent Lincoln nie sprzeciwiałby się temu, gdyby otaczające go stronnictwo skłonne było do jakiegokolwiek ustępstw i układów. Być może iż wzajemne wycieńczenie sił i sprawy meksykańskie przyczynią się do zakończenia tej strasznej wojny domowej.

(Ind. Bel. Schles. Ztg. France. Constit. Jour. des Deb.)

**Ostatnie depesze. Berlin 24 września.** Gazeta Krzyżowa zawiadamia, że wczoraj wysłano odpowiedź do książąt i miast wolnych. Prusy odrzucają propozycje Austrii i jej sprzymierzeńców, stawiając następujące warunki reformy: 1o) zupełna równość Prus i Austrii; 2o) veto każdego z dwóch mocarstw w kwestyi wojny i pokoju; 3o) nowa organizacya reprezentacyi ludowej w Związku niemieckim.

**Londyn 23 września.** Artykuł wstępny Morning Post'a ostrzega Niemcy, aby nie wykonywały egzekucyi w Holsztynie. Urzędowy organ lorda Palmerstona dodaje: „Anglia miluje wprowadzić pokój, ale nie będzie obojętnie spoglądać na usiłowanie podbicia Danii.“

**Wiedeń 24 września.** Urzędowa Wiener Zeitung zawiadamia o bezzasadności pogłoski o toczących się układach w przedmiocie małżeństwa arcyksięcia Ludwika z Donną Izabellą brazylijską.

**Frankfurt 24 września.** Europe utrzymuje, że arcyksiążę Maksymilian uznał, iż uchwała notabłów meksykańskich nie jest dostateczną rękojmią do przyjęcia korony i że wymaga ogólniejszej manifestacyi ludu meksykańskiego.

## CHORWACJA I SŁAWONIA.

Wojskowe pogranicze. Serbska wojewodowina i Banat.

(Dokończenie).

Owo tak często wspominane pogranicze wojskowe, o którym u nas mało kto ma jasne wyobrażenie, jest to wązki a długi pas kraju, poczynając od brzegów Adryatyckiego morza, aż do granicy Siedmiogrodu, pomiędzy dzierżawami Austrii a Turcyi się rozciągający. Powierzchnia jego wynosi 610 mil kwadratowych, ludność 1,200,000 z górą. Ludność tę po największej części składają Słowianie, to jest Chorwaci i Serbowie, w małej bardzo Rumuni, Niemcy i Węgrzy.

Powstanie tej instytucji, jeśli nazwy takiej użyć się tu godzi, sięga początków szesnastego wieku. Gdy potężni podówczas Turcy, usadowiwszy się na dobre w Bośni, napadali swoimi poczęli się stawać groźnymi tak węgierskim jak i rakuskim krajom, arcyksiążę Ferdynand, szwagier Ludwika czeskiego i węgiersko-chorwackiego króla, obsadził, w porozumieniu się z tymże, wojskiem swém Klis, Krupe, Seń, Bihacz, Jajce i inne pograniczne chorwackie miasta, sposobem tym i własne i szwagra swego dzierżawy od niespodzianych wtargnięć zabezpieczając. Garnizony te jednak były po prostu z odkomenderowanych do tego żołnierzy złożone. Dopiero gdy po nieszczęśliwej Ludwika pod Mohaczem (1526 r.) śmierci, Ferdynand nastąpił po nim na tron węgiersko-chorwacki, poczęł urządzać straż graniczną z Uskoków, to jest zbiegów, którzy nie chcąc znosić tureckiego jarzma, uchodzili w dzikie góry i lasy, ztamtąd przeciw niewiernym wieczną tocząc wojnę. W tym celu wydzielał im na pograniczu ziemie, których bezpłatnie używać mieli, z jedynym zato obowiązkiem bronięcia ziem tych od napadów tureckich. Gdy liczba Uskoków okazała się niedostateczną, osadzono obok nich krajowców na tychże prawach i pod też same wojskowe poddając ich urządzenie. Obok tego istniały zawsze jeszcze garnizony z nieosiadłego żołnierza, to jest po części z Uskoków na żołd służyć wolących, po części z niemieckich najemników złożone.

Gdy po długich i upartych walkach Turcy zostali wypędzeni z Sławonii i części Węgier które dotąd zajmowali, kordon graniczny, na ten sam sposób co w Chorwacji, został urządzony wzdłuż Sawy, Cisy, Marosza i t. d., aż do Dniestru, oddzielając niby żywym murem państwo austriackie od otomańskiego.

W miarę jak osiedli na roli Granicarze zwiększali się liczebnie i rozradzali, garnizony z płatnego żołnierza ustawały, aż wreszcie istnieć przestały, a cały ciężar obrony kraju spadł na barki wojskowych osadników.

Wojskowe pogranicze nad Cisą i Maroszem zostało skasowane już w 1750 r., a nad siedmiogrodzką granicą w 1849 r.

Pod względem wewnętrznych urządzeń i bytu osad-

ziemu temu w części zaradził w początkach bieżącego wieku arcyksiążę Karol, zarząd nad pograniczem objawwszy. Pomimo to przecież Granicarze, prócz służby wojennej, musieli z lichych swych gruntów wiele ponosić ciężary, jako to: pracować około budowy gmachów publicznych, dróg, spuszczać i zwozić drzewo dla oficerów, dawać podwozy i t. p. Przeciężenie to powinnościami przed kilkunastą laty do głośnych

dało powód sarkani i groziło jawnym niechęci wybuchem. Dopiero staraniem bana Jelaczyca usunięte zostały zbyteczne ciężary i los Granicarzy jakotako przynajmniej polepszony.

Obszerne urządzenie pogranicza jest w głównych zarysach następujące.

Rola na której Granicarze siedzą, a która do r. 1856 była cesarską, jest obecnieich własnością; rząd pozostawił sobie tylko lasy, z których jednak na budowę, opał i inne użytki osadnicy drzewo swobodnie brać mogą. Zato każdy właściciel roli opłaca podatek, w stosunku do urodzajności gleby i ceny

wcale nie lżejszy niż w innych monarchii prowincjach; swoją zaś drogą każdy mężczyzna obowiązany jest do wojskowej służby przez całe życie, lub dopóty, dopóki niezdolnym do niej się nie stanie. A nie idzie tu już tylko, jak niegdyś, o obronę granic; gdziekolwiek wojna wybuchnie, pułki granicarskie jedne z pierwszych na linię bojową iść muszą. Jak zaś hojnie ten krwawy podatek spłacają, dowodem jest stosunek żeńskiej do męskiej ludności pogranicza. Gdy bowiem w innych południowych prowincjach słowiańskich męzka nad żeńską ludnością przeważa, tu, na milion parę-kroćset tysięcy ogółu, wypada przewyżka około 50,000 kobiet.

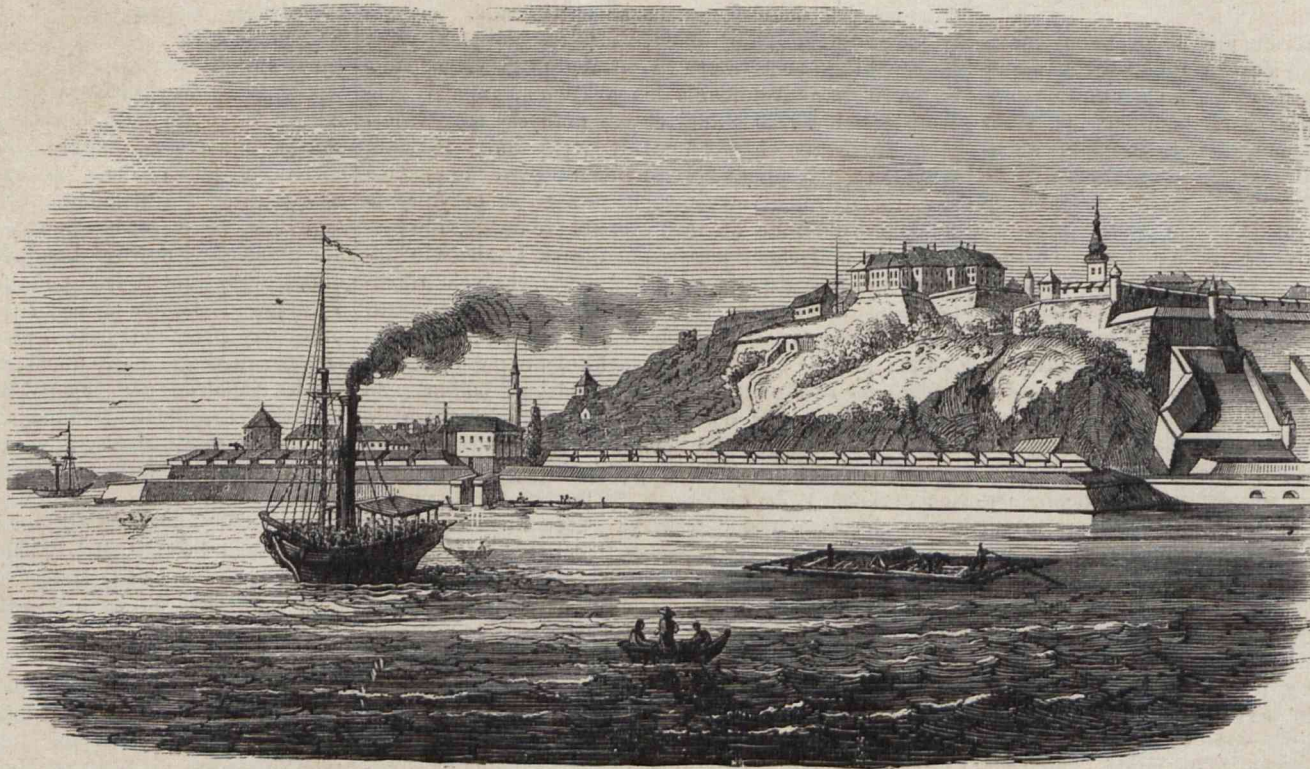
Mieszkańcom nie służą żadne polityczne ani cywilne prawa. Zamiast gmin i obwodów, dzieli się wszystko na setnie i pułki, których komendanci są razem policyjną, administracyjną i sądową władzą. W wojnie tedy, czy w pokoju, Granicarz, żona jego i dzieci, wojennym wiecznie podlegają prawom. Granica cała, rzecz można, jest tylko jednym wielkim obozem, w którym miejsce namiotów drewniane zastępują chaty.

Pułk każdy w czasie pokoju składa się z dwóch batalionów liniowych, po dwa-

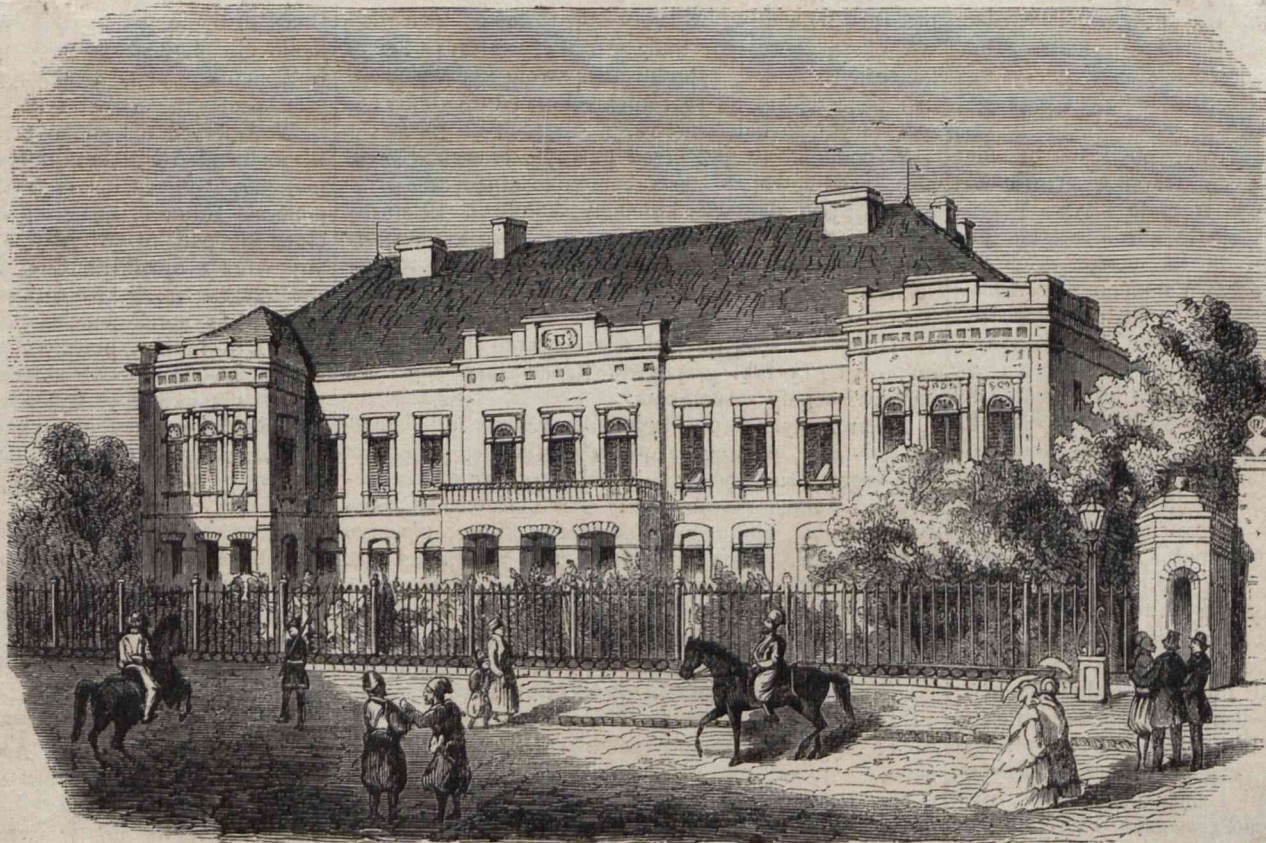
naście setni, tudzież z jednego rezerwowego, z czterech złożonego setni. Do pułku piechoty zwykle dodawane bywają dwie setnie jazdy.

Od rządu otrzymuje Granicarz broń, mundur i inne wojskowe przybory; w czasie czynnej służby i żołd zwykły; służbę przecie policyjną i dyscyplinarną w obwodzie swoim bezpłatnie pełnić musi.

W czasach gdy Austria nigdzie nie prowadzi woj-



WIDOK Z ZEMUNIA NA BELGRAD.



KONAK ks. ALEKSANDRA W BELGRADZIE.

Osiągnąwszy w ten sposób nieograniczoną nad Granicarzami władzę, zwierzchnicy ci poczęli ich traktować jak poddanych i niewolników swoich, uważając się za samowładnych panów ich osób, ich pracy i mienia. Ucisk dochodził do takiego stopnia niekiedy, że Granicarze uchodzili do Turków, których jarzmo lżejszym do znoszenia było, lub w górach w hajduckie sformowali się drużyny.

ny, główna służba Granicarzy polega na utrzymywaniu czujnego ponad granicą turecką kordonu. W tym celu tuż ponad linią graniczną pobudowane są tak zwane *czardaki*, to jest szałas na dębowych palach wyniesione, tak dla dalszego z nich poglądu, jak i z powodu częstych wylewów rzek nad którymi stoją. Czardaki te, w miarę przyrody gruntu, tak są jedne od drugich oddalone, że strażnicy ich nawzajem widzieć się mogą. Koło szałasów obiega galeria, z której służbowy żołnierz dnem i nocą pilną daje baczność. Osada czardaku, co tydzień się mieniająca, składa się zwykle z dziesiętka żołnierzy.

Dziś, gdy groźni niegdyś Turcy tak się wyrodzili od przodków swoich, że zamiast wpadać do państw cudzych, sami są kontenci gdy ich nikt nie zaczepia, celem kordonu jest głównie przeszkodzenie komunikacji z Turcją, bez pośrednictwa kwarantanny, ze względu na zaraźliwe choroby często tam grasujące. Niekiedy jednak zdarzają się zbrojne napady, uprowadzanie trzód, grabienie mienia, a częściej nad to wszystko zuchwałe kradzieże, dokonywane przez bandy, bądź z muzułmańskich łotrów, bądź z hajdukujących chrześcijan złożone. Do przeszkadzania tego rodzaju przedsięwzięciom, chwywania łotrów i odbijania wydartej własności, służą szczególnie oddziały Granicarzy *Sereżanami* zwane, niejako miejsce żandarmeryi zastępujące. Dla snadniejszego spełniania swoich wcale nie łatwych obowiązków, odziani są oni na sposób zwykle przez hajduków używany. Noszą czerwony fez, kurtkę i spodnie niebieskie, płaszcz czerwony; do tego para pistoletów i handziar za pasem, a przez ramię długa strzelba. Wybierani są na Sereżanów ludzie najroztrośniejsi, najdzielniejsi, najzwinniejsi i najlepsi strzelcy; za pełnienie zaś swęj niebezpiecznej i ciężkiej służby cieszą się niektórymi szczególnymi prawami i ulżeniami.

Granicarze, osobliwie w górzystych zrodzeni okolicach, są wysmukli, ale silnie zbudowani. Ludzie rzucający jak piłką kamieniami 50 do 80 funtów wazacem, nie są między nimi rzadkością; dość często zaś dają się napotykać przykłady prawdziwie olbrzymiej siły. Tak np., niejaki *Ilija Dewczicz*, gdy budowano magazyn w Smilianie, wziąwszy kamień ośm centnarów wazący, który dwunastu ludzi próżno dźwi-

gnąć sililo się, sam go na oznaczone miejsce położył, jak to dotąd wyryty na tymże kamieniu napis opowiada. Drugi *Dewczicz*, *Roko* imieniem, niósł na ramieniu więcej jak czterysta kroków dęb cały, siedm centna-

To nadzwyczajne sił fizycznych rozwinięcie nie dzieje się tu, jak to często bywa, ze szkodą duchowych zdolności ludu. Owszém, Granicarz posiada nie w mniejszym stopniu jak jego okoliczni południowo-słowiańscy bracia zwykle im przymioty: obrotność, przebiegłość, umysł poetyczny i wynalazczy, obok wielkiego daru wymowy.

Dla dania pojęcia, jak drogim klejnotem jest pogranicze w austriackiej koronie, dość powiedzieć, że w razie wojny rząd wyprowadza z niego do 180,000 wojska, dzielnego i wyćwiczonego, które w czasie pokoju nic go nie kosztuje.

Miast dawnych w obrębie pogranicza wojskowego znajduje się kilka, jakoto: *Panczowa*, nad Temeszem, z 12,000 mieszkańców; *Biela Crkew* (*Weisskirchen*) z 6000; *Mitrowica*, nad Sawą, z 5,000; a wreszcie *Karlowci* (*Carlowitz*) nad Dunajem i *Zemun* (*Semlin*) przy ujściu Sawy do Dunaju, przy których nieco zatrzymać się nam wypada.

*Zemun*, powszechniej pod nazwiskiem *Zemlina* znane, dziś 9000 mieszkańców liczące miasto, zasługuje na szczególniejszą uwagę, z powodu starożytności, wspomnień historycznych, a wreszcie ważności położenia swego. Już za czasów panowania rzymskiego w tych stronach była to jedna z najważniejszych wojskowych i handlowych olbrzymiego państwa pozycy. Podówczas, o ile z niezbyt wyraźnych świadectw sądzić można, stało tu miasto *Taurunum*, o którego rozległości i mocy świadczą po części ślady rzymskich obwarowań, po części rozległość niepożytych murów, w głębi ziemi dotąd w najodleglejszych częściach obecnego miasta napotykanym. Po upadku rzymskiego mocarstwa, jak tyle innych jego kolonij, upadło i kwitnące *Taurunum* pod nawalem barbarzyńskich zdobywców, co jak się zdaje około 600 roku po Chrystusie miało miejsce. Wówczas bowiem Awarowie, pod wodzą Chachan-Bajana, zniszczyli całą prowincyą Sirmią, której miasto to było stolicą, i odtąd znikają z dziejów obie, tak miasta jak i prowincyi, nazwy.

Zbyt widoczne zalety pozycy nie pozwoliły wszakże miejscu temu długo niezaludnionem pozostać, i już na początku jedenastego wieku napotykamy na niem osadę, o której czysto słowiańskiem pochodzeniu świadczy po dziś dzień utrzymujące się miano. Miano to



MIESZKAŃCY BANATU.

rów wazący. Inny nakoniec Granicarz, *Franciszek Bubbasz*, widząc okulażonego konia, który niósł na sobie zwykły ładunek wina, przeniósł go, podsadziwszy mu się pod brzuch i ująwszy przednie nogi jego, przez most do karczmy pobliskiej.



MIESZKAŃCY POGRANICZA WOJSKOWEGO.

wskazywać się zdaje, że nowi osadnicy pierwsiastkowo zamieszkiwali w jamach ziemnych, *zemunicach*, wydrążonych licznie w gliniastych wzgórkach okolicznych; w chwili jednak gdy pierwsza piśmienna pojawia się o Zemuniu wzmianka, z zawiązku takowego dość już znaczne wzrosło miasto.

Było to w pamiętnym r. 1096, gdy pobudzone namiętnym głosem Piotra pustelnika, mnogie, różnojęzyczne tłumy pierwszych Krzyżowców dążyły tedy do ziemi świętej. Jak wiadomo, świętość celu nie mogła powstrzymać tej z górą czterdziesto-tysięcznej zgrai, w wielkiej części złożonej z wszelkiego rodzaju awanturników, od gwałtów w chrześcijańskich krajach, przez które przechodziła, tak iż Koloman, król węgierski, uznał za stosowne, zebrałszy co mógł naprzód wojska, ciągnąć w ślad za obozem Krzyżowców, aby nadużyciom ich zapobiedz, lub skarcić takowe w potrzebie. W chwili więc gdy Piotr z zastępy swemi zbliżał się ku Zemunowi, pogranicznemu podówczas węgierskiemu miastu, pochód jego dość był podobnym do pochodu w nieprzyjacielskim kraju.

Przednia straż Krzyżowców, pod dowództwem niemieckiego rycerza, o charakterystycznym bardzo nazwisku *Waltera von Habenichts*, szczęśliwie i spokojnie minawszy Zemun, już była Sawę przebyła, gdy jakaś garść maruderów za nią zdążających, pozwoliła sobie gwałtów przeciwko mieszkańcom miasta. Ci, pochwyciwszy lotrugających, za karę zwlekli ich do naga i tak w świat (zapewne oćwiczwszy wpiérw porządnie) puscili; naszyte zaś krzyżami ich suknie, dla przestrogi zdarzyć się jeszcze mogących naśladowców, na murach miasta rozwiesili. Krok ten jednakże, więcej chępliwy jak roztropny, ciężką wkrótce sprowadził na nich klęskę.

Gdy z kolei sam Piotr, z korpusem głównym, pod Zemun nadciągnął, uważając w wywieszeniu szat krzyżowniczych ciężkie dla siebie urągawisko, a mniemając nadto że mieszkańcy z pobitych zdjęli je pielgrzymów, nie hamując żądzy zemsty, która na widok ten cały tabór jego zapaliła, dał znak do uderzenia na miasto, zgola na szturm i obronę nieprzygotowane. Wały jego bez trudności zdobyte zostały, i mieszkańcy, nie oczekując od zwycięzców zmiłowania, cofnęli się, walcząc krok za krokiem, wazkami uliczkami, dopóki nareszcie liczbą ze wszech stron przemożeni i zgniecenieni nie zostali. Do czterech tysięcy padło w tej rozpacznej walce; niewielka liczba szczęśliwszych zdrowo ujęć w lasy zdołała. Krzyżowców kosztowało zwycięstwo całe zaledwie stu ludzi, najlepszy dowód jak mało Zemuńczanie na napad przygotowani byli. Bogate łupy, a mianowicie wielka obfitość koni, trzód wszelkiego rodzaju, zbóż i wina, dostała się w ręce zdobywców, którzy też przez pięć dni całe ucztowali na dymiących krwią zgłiszczach, po snadnym swém zwycięstwie. Wieść dopiero o zbliżaniu się Kolomana, chcącego pomścić ten gwałt zuchwały, w państwie jego popelniony, skłoniła Piotra do szybkiego przejścia granicznej rzeki i wkroczenia na ziemię ówczesnego wschodniego cesarstwa.

Wkrótce po odejściu jego, a za nadejściem Kolomana, zebrały się ocalałe mieszkańcy Zemuna szczęty, pod opieką swego króla krzątając się około odbudowania z gruzów swęj siedziby. Dziwić się przychodzi, w jak krótkim czasie zdołało się nieszczęśliwe miasto podnieść po tak krwawem doświadczeniu. W pięćdziesiąt lat później, podczas węgiersko-byzantyjskiej wojny, widzimy je wznieśionem do niepospolitego znaczenia i wielką dziejową odgrywającą rolę.

W wojnie tej (1150 r.) przez węgierskiego króla Gieję II dość nieszczęśliwie przeciw Manuelowi I Komnenowi toczoną, Zemun i Belgrad tworzyły jedną tamę, o którą się napróżno cała przebiegłość i meztwo wschodniego cesarza rozbijały. Wtedy nawet, gdy już prawie cały Banat i południowe Węgry zalane zostały greckimi wojskami i starożytna stolica królestwa Stólny-Białogród (*Alba Regia*, *Stuhlweissenburg*) w perzynę obrońcą była, na murach Zemuna powiewała chorągiew węgierska. Dopiero pokój, przez syna i następcę Gieję, Stefana III, zawarty, oddał nieupokorzone w wojnie miasto, wraz z Syrmią całą, Serbią i Bośnią, pod władzę bizanckiego cesarza.

Ale przewaga Bizantu w tych stronach, na chwilę geniuszem Manuela przywrócona, niedługo trwała; a natomiast podnosiło się znaczenie holdowniczych początkowo władców Serbii, którzy z żupanów i namiestników (logotetów) cesarskich, na niepodległych w krótkim czasie zamienili się królów rozszerzając panowanie swe coraz bardziej nad pokrewnymi południowych Słowian plemionami. Z kolei i ziemia sremska, czyli Syrmia, do której należy Zemun, stała się prowincją szybko rosnącego serbskiego państwa, aż do jego, prędszego jeszcze niż był wzrost, upadku. Po rozpadnięciu się krótkotrwałego Duszanowego cesarstwa, przeszła jako lenność korony węgierskiej w rę-

ce potężnego rodu hrabiów Cilly i zostawała w nim, aż do wygaśnięcia tej, tragicznie na kartach dziejów zapisanej, rodziny.

Podobnie jak przedtem przeciw wschodniemu cesarstwu, stały się teraz Zemun i Belgrad głównym przedmurzem Węgier, od napadów tureckich przez długi czas je zasłaniającem. Z początkiem przecież szesnastego wieku, w trzydziści lat po zgonie wielkiego Macieja Korwina, Soliman II, pokonawszy w krwawej pod Mohaczem bitwie wojska Ludwika II, który tu koronę wraz z życiem postradał, zdobył i zburzył te oba nawzajem wspierające się miasta. Odtąd (1521), aż do początku osmnastego wieku, pozostawał Zemun, a raczej smutne jego ruiny, nieprzerwanie pod tureckim panowaniem, aż nareszcie pokój pożarewacki znów go do Węgier przywrócił.

Stawszy się w ten sposób głównem od wschodu pogranicznym austriackich dzierżaw miastem, Zemun szybko się zabudował i zakwitł nanowo. Szczególniej złota epoką dla niego był czas tak zwanego zamknięcia kontynentu pod Napoleonem, którego skutkiem cały handel wschodni na morzu przecięty, skierował się przez Zemun i Belgrad do Stambułu. W tej to porze przyszło miasto do dzisiejszej rozległości i ludności swojej; w niej także założona przy niem została kolonia, czyli przedmieście *Franzensthal*, zaludniona niemieckimi osadnikami, którzy w nadziei wielkich korzyści licznie się tu zbiegli. Nadzieje ich jednak dość gorzko zawiedzione zostały; gdy bowiem po upadku cesarstwa francuzkiego drogi morskie otworem stanęły, Zemun z pierwszorzędnego handlowego ogniska zszedł do klasy drugorzędnych miast spedycyjnych, i odtąd raczej na drodze powolnego upadku niż rozkwitu się znajduje.

Po wyjściu z rąk tureckich z gruntu nanowo zabudowany, Zemun posiada jedną tylko historyczną pamiątkę, którą są zwaliska starożytnego grodu, na panującym ponad miastem wzgórzu samotnie sterczące. Niewątpliwe cechy piętnastego wieku na budowie tej wyciśnione, pozwalają się domyslać, że ją wznieśli hrabiowie Cilly, podówczas tu władający. W tych to murach zakończył życie bohaterski Jan Huniad; w nich następnie Ulrich Cilly więził zdradziecko pojmanego syna jego Jana. One też były świadkami śmiertelnego pojedynku, który później oswobodzony Jan stoczył z dawniejszym swym prześladowcą, a który zgonem Ulricha się skończył. Dziś z całego zamku pozostały tylko potężne mury zewnętrzne, regularny czworobok tworzące, z mniej więcej pozawalanymi różnemi okragłemi baszty. Kształtem i budową ruina ta przypomina dość żywo zwaliska naszego ciechanowskiego zamczyska. Tylko zato cóż za niezmierną poleżenie i widoku różnica! Podczas gdy z naszych mazowieckich zwalisk, rzuconych na poziomej kępie Łydyńi, nie widać nic jak smutny gaj olszowy i kilka wzgórków nadbrzeżnych, z zemuńskiego grodu na wszystkie strony zasięga oko kilkunastomilową przestrzeń. Na północ, zachód i wschód rozciągają się urodzajne, lekkoimi wyniosłościami sfalowane równiny błogosławionej ziemi sremskiej, Sławonii i Banatu; na północy wzrok, spocząwszy na malowniczo u zbiegu dwu bystrzych rzek piętrzącym się Belgradzie, biegnie zielonem polem i smugami aż do zamykających widok krag gór serbskich, przed których zbętaćm łańcuchem występuje na pierwszy plan dwurożna Awala, kształtem i położeniem odosobnionem szlżką Sobótkę przypominająca. Trzy ogromne srebrne szyby Dunaju i Sawy, w trzech kierunkach niby promienie z jednego punktu się rozchodzące, niewysłowionego uroku dodają temu już samemu przez się uroczemu obrazowi.

*Karłowci*, miasto mniej więcej o ośm mil od Zemunia, ponad Dunajem położone, zasługuje na uwagę jako rezydencja patriarchy serbskiego, rozumie się greckiego obrządku.

Patriarchat ten, w czasach potęgi serbskiego narodu w należącem dziś do paszajiku skadarskiego mieście Pieczu (*Ipek*) ustanowiony, utrzymywał się na ziemi serbskiej przez długie jeszcze czasy po rozbiciu przez Turków Duszanowego państwa, którego rozbite cząstki uparty zdobywcą stawiały wciąż opór. Lecz gdy pod koniec siedemnastego wieku Turcy, starłszy kolejno ten cząstkowy opór, zagrozili nakoniec ostatniemu niepodległości serbskiej schronieniu, Czarnogórze, gdy zaciętość ich w tępieniu tej narodowości, a szczególnie wszelkich organicznych jej żywiołów, do najwyższego doszła stopnia, a gdy z drugiej strony panujący w Węgrzech dom habsburski, dla zaludnienia spustoszałych nadgranicznych kraju tego okolic, starał się usilnie przyciągnąć do nich prześladowaną ludność serbską, nie szczędząc przywilejów i zapewnień świetnych, — w r. 1690 patriarcha Arseni Czernojewicz, z 40,000 blisko serbskich rodzin, pomiędzy którymi znajdowały się niemal wszystkie historyczne znacze-

nie i wpływ posiadające rody, opuścił uciśnioną ojczyznę, udając się do Węgier, gdzie już wpiérw znakomita emigracja serbskiej nagromadziła się była ilość. Tłumnemu temu pod naczelnictwem patriarchy wychodźtwa przewodniczyła nadzieja, że uniosłszy z ojczyzny narodowego istnienia tradycje i żywioły, w pomyślniejszej chwili napowrót je do niej przeniesie.

Takim sposobem patriarchat serbski znalazł się pod austriackim panowaniem, a emigracja tego narodu wzrosła na turecko-węgierskim pograniczu do niezwykłych rozmiarów, uzyskując tu dla siebie pewien rodzaj politycznej autonomii. Autonomia ta miała, i ma dotąd o tyle o ile, charakter hierarchiczno-narodowy. Patriarcha uważa się za głowę nie tylko religijną, lecz i polityczną całego narodu serbskiego w Węgrzech, i wybieranym też być powinien nie tylko przez duchowieństwo, lecz i przez świeckich narodu reprezentantów, zebranych w tak zwany kongres, zwykle w Karłowcach się odbywający, który początkowo miał także bardzo obszerne do stanowienia w rzeczach narodowego samorządu prawa. Począwszy jednak od roku 1727, atrybucje i znaczenie kongresów coraz bardziej uszczuplane bywały, aż dopiero w 1848 r. gabinet wiedeński, zmuszony do zyskiwania sobie przeciw Węgom sprzymierzeńców, otworzył znowu bardzo obszerne pretensjom serbskim pole.

Walcząc wspólnie z Chorwatami przeciw Węgom, a tén samém w rządu cesarskiego interesie, Serbowie austriaccy wzięli sobie za hasło uzyskanie zupełnej politycznej autonomii, pod władzą własnego wojewody, jak to wyrażała następna zwrotka popularnej podówczas pieśni:

„Serb se bije,  
A krew lije  
Za svoju slobodu.  
Serb se bije,  
Da dobije  
Swoga wojewodu.“ (1)

Kiedy więc po pokonaniu węgierskiego powstania trzeba im było jakoś okazaną wierność nagrodzić, utworzono im owego pożądanego wojewodę, nie takiego przecież jakiego chcieli, nie serbskiego wojewodę serbskiego narodu, ale wojewodę serbskiej wojewodowiny. W tym celu odłączywszy pewną ilość komitatów czyli żupanstw węgierskich, po części przez Serbów zamieszkałych, połączono je wraz z dawniejszém wielkorządztwem, czyli banatem temeszwarskim, gdzie Serbowie także licznie zamieszkują, w jedną polityczno-administracyjną prowincję (*Kronland*), pod nazwą: serbska wojewodowina i temeszwarski banat. Naczelnik tej nowej prowincji otrzymał tytuł serbskiego wojewody, z czego jednakże Serbowie żadnej a żadnej nie mieli pocięchy. Pomimo bowiem tak dzwicznego tytułu, rządca wojewodowiny był po prostu gubernatorem przez rząd wiedeński mianowanym, jak wszędzie indziej; a mógł nim być równie dobrze Serb, jak Włoch, Wołoch, Czech lub Niemiec. Jakoż, ku niemalemu Serbów zmartwieniu, a złościwej Węgrów radości, Niemiec istotnie piastował piérwszy tę godność. Po kilkunastu latach istnienia, patentem październikowym z 1860 roku, który miał konstytucyjny stosunek Węgier do panującego domu przywrócić, pretendowana owa wojewodowina znów *de jure* istnieć przestała, wcielona napowrót do korony św. Stefana. Mówimy *de jure*, gdyż *de facto* tak tu, jak i wszędzie, wszystko idzie sobie i isć pewno długo będzie dawnym trybem.

Ze taka serbska wojewodowina, jaka przez lat kilkanaście istniała, z tytułu tylko mogła za serbską uchodzić prowincją, najlepiej to okaże króciutki na jej mieszkańców liczebny stosunek pogląd. Cała prowincja, na przestrzeni 544 mil kwadratowych, liczyła ludności z górą 1,600,000. W liczbie tej tylko 600,000

(1) Ta myśl uzyskania osobnego wojewody, opierała się na historycznem, prawda że niebardzo szczęśliwie zastosowanem, wspomnieniu. Po nastąpieniu w 1456 roku śmierci Jerzego Brankowicza, rodzina ostatniego rzeczywistego księcia danicznej Turkom i zeszczupionej Serbii zbiegła do Węgier, z resztą rycerstwa i panów swoich; nosiła tam tytuł książąt, despotów, lub wojewodów serbskich, o odzyskanie straconego kraju, jakbądź niepomysłnie, wciąż się starając. Gdy następnie z początkiem szesnastego wieku, ród Brankowiczów wygasł, schronieni w Węgrzech Serbowie, nawykłszy mieć swojego *in partibus* naczelnika, probowali po parokroć tytułem wojewody przyozdobić znakomitych z między siebie mężów; ale rząd węgierski tytułu tego i władzy do niego przywiązanej nie uznawał, choć na używanie nazwy przez szpary spoglądał. Chęć wskrzeszenia tej emigracyjnej godności, w czasie gdy już w Belgradzie rzeczywisty serbski znajduje się książę, była dość niezręcznym pomysłem, tén bardziej, że zapewniona węgierskim Serbom pod naczelnictwem patriarchy autonomia zupełnieby potrzebom ich wystarczała, gdyby tylko to co zapewniono, w wykonaniu uszczuplenia nie doznawało.

Serbów; a doliczając do nich dość licznie osiadłych Czechów i Bulgarów, razem do 700,000 słowiańskiej ludności. Przeważną ogólną cyfrę resztę, 900,000 głów, składali Niemcy, Madziary i Rumuni, mniej więcej w równą występującą liczbę, z narodowością serbską mieć coś wspólnego chcący, a nie mogący. Przy najżyźniejszym więc dla Serbów usposobieniu wyznać należy, że w obec ich liczebnego i historycznego do innych narodowości w Węgrzech stosunku, wszystkiemu do czego rzeczywiste prawo mieć mogą, jest narodowa autonomia w kościele, szkole i w zarządzie społecznym, dawnymi przywilejami im zapewniona, której też, prawda że z niejakimi ograniczeniami, obecnie używają. Takiem jest nawet zdanie światlejszych w księstwie serbskim patriotów; a są pomiędzy nimi i tacy, którzy mniemają, że najpożądniejszym byłby powrót powolny całej emigracji serbskiej z Węgier napowrót na ziemię ojczystą.

W zamieszkałych przez Serbów obwodach byłej wojewodowiny i banatu znaczniejsze miasta są: *Temeswar*, rezydencja gubernatora i biskupa wschodniego obrządku; *Wrszacz*, takiegoż biskupstwa siedziska; *Beczkersk*, i *Sombor*, wszystkie z ludnością około 20,000 mieszkańców. Ludność w nich jednak bardzo mieszana i w ogólności żywioł madziarski lub niemiecki występuje daleko wybitniej niż serbski. Najbardziej serbskim miastem jest *Nowy-Sad*, z 42,000 mieszkańców, ponad Dunajem, na którego drugim brzegu wznosi się potężna twierdza *Waradzyn*, przez Niemców *Peter-Wardein* zwana. Jak Karłowci polityczno-religijnym, tak Nowy-Sad jest społeczeńskiego i umysłowego życia austriackich Serbów ogniskiem. Panujący w nim ruch literacki i dziennikarski jest daleko silniejszym, a co większa lepiej kierowanym i żywotniejszym, niż w Belgradzie. Od kilku lat istnieje tu także z powodzeniem teatr serbski, a w bieżącym roku przeniesione ma zostać z Pesztu towarzystwo Maticy serbskiej, od lat kilkudziesięciu tamże zawiązane i działające.

Jak już wspomnieliśmy, pomiędzy emigracją serbską w Węgrzech osiadłą, znalazła się cała niemal szlachta tego narodu, wyjąwszy bośniackiej, która się zmuzułmańcała, niż rozstać z ojczyzną i posiadłościami swymi wołała.

Udając się na wychodźstwo, po ciężkich poprzednio doznanych klęskach, nie była ona w stanie unieść z sobą wielkich zagranicę dostatków, i dlatego też trudno jej było zająć niepodległe stanowisko. Rozrozdzeni i zubożeli jej potomkowie znaleźli się zmuszonymi na drodze wojskowej i urzędniczej służby szukać sobie chleba i losu. Ta potrzeba szukania kariery, a tym samym stosowania się do wymagań obcych, zniechęciła ich przyjąć obyczaje społeczeństwa, wśród którego żyć im wypadło, a razem nie pozostała bez niekorzystnego wpływu na ich charakter, wyciskając na nim do pewnego stopnia owo nieulubie piętno, jakie ma znamionować w ogóle czeską biurokracją w Austrii. Takie jest przynajmniej zdanie o nich rodaków w księstwie i w Turcyi, pomiędzy którymi rzadko należący do wykształczonego społeczeństwa Serb austriacki miłym widziany bywa okiem.

Co do prostego ludu serbskiego na węgierskiej ziemi, ten pozostawiający w zupełności wiernym wyniesionym z kraju tradycjom, pojęciom, obyczajom, cnotom i wadom swoim, nieczem się nie różni od współbraci swych w księstwie serbskim i innych prowincjach Turcyi, których zarysy z kolei wkrótce czytelnikom Tygodnika spodziewamy się podać.

## KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

### MALARSTWO.

(Dokończenie).

*Nereidy* tegoż artysty, akwarella małych rozmiarów, na szczególną zasługują uwagę. Promyczek uroczej Greków fantazyi poraz pierwszy zajął w nich nieśmiało do sal naszej wystawy, i wyznać musimy z żalem, przyjęty został niegościnnie. Obrazek ten, umieszczony bez żadnego odznaczenia, a nawet podpisu, mijany jest obojętnie i nikt nie domyśla się, że to rzeczywiście odbłysek fantazyi Greków, wprawdzie owiany już oddechem upadającego Rzymu, przypominający bóstwa z czasów Heliogabala, ale jednak w znaczeniu swym obliczu jasne piętno pochodzenia swego zachowujący. Córy oceanu, porwane falą i wicherem, pływają piękne, swobodne, wśród rozhukanych żywiołów; one same są falą i wicherem, oceanem i burzą, i są znowu czemś od nich różnym, ich kwiatem i ich owocem. Słońce co się łamało w falach i kropkach, ślizgało po gładkiej powierzchni wód, wytrysło

obliczem jasnem, barwnem; te torsy z piany, skamieniały w marmur, brąz, a ten marmur i brąz zadrgał życiem, i wicher zobrazował się w rozwianych spłotach, i oto burza cała żyje życiem ludzkim, oddycha swobodą i szczęściem swego bytu. Otóż, ta akwarella p. K., delikatna, wypieszczona, a przytęm energiczna i pełna fantazyi, przypomina nam owe greckie chwile swobody i szczęścia; jest tam zakrój prawdziwie wyższy, tylko przyćmiony już przy samem wykończeniu dodatkami z czasów zepsucia smaku. Te złote polyski, te kwiaty nazbyt zalotnie i miękko głośnie wieniczące, odejmują właściwe znaczenie pięknym obliczom i klasycznym torsom bóstw wodnych.

W przedmiotach historycznych wystąpili młodzi artyści, dając nam Leszka odmawiającego korony, żeby zatrzymać przyjaciela; Barbarę rzekającą się tronu, dla zapobieżenia wojnie domowej; św. Katarzynę dysputującą z filozofami Aleksandryi w obec konsula rzymskiego. Przedmioty pięknie wybrane i głęboko dramatyczne, ale dramatyczne nie w skutek wielkich namietności, lecz w skutek wewnętrznej pracy ducha, wybuchającej poświęceniem dla przyjaciela, kraju i wiary. Gdy zawiązką i sceną dramatu nie świat, lecz dusza człowieka, gdy nie pożar namietności ani też jego łuna, ale jasna lampa ducha ma oświecać obraz, trzeba nietylko głębokich studyów historycznych, nietylko znajomości serca ludzkiego, ale i wysokiej techniki, aby, gdy chwila jasnowidzenia zstąpi do duszy artysty, ręka jego pasowała się z oddaniem myśli i z wyszukaniem odpowiedniej fizycznej formy nie potrzebowała. W chwilowym podżęgnięciu ducha można się zdobyć na błysk namietności w obliczu, na szalony lub wymowny ruch, nawet przy miernym ogólnym wyrobieniu; ale gdzie idzie o świętość, o uczucie z wiary płynące, nawet miecz Aleksandra nie rozetnie węzła. Barbarę, Leszka, Katarzynę, wychowała wiara, ona przesiąknęła z wolna cały ich organizm, i gdy starcie wywołało wybuch, organizm zaświecił jasnością wewnętrzną. Artysta zatem zabiierający się do tego rodzaju przedmiotów, również z wolna przesiąknąć żywiołami piękną i wyrobić się do dojrzałości duchowej powinien, a wtedy dopiero zdolnym się staje przywołać do życia tego rodzaju postacie.

W obrazach które mamy przed oczyma widać usiłowania, a nawet talent, ale talent niewykształcony, niezdolny jeszcze wznieść się na równię z wielkością zadania; żąd brak nietylko charakterystyki, świętości i uniesienia, ale nawet powagi w kolorystyce, rozmaitości w typach, jedności w układzie.

*Śta Katarzyna p. Głębockiego*, obraz pod względem formalnym zarówno w kompozycji jak rozłożeniu figur dobrze pojęty, w treści zdradza nieznajomość żywiołów charakterystycznych właściwych przedmiotowi. Konsul nie jest Rzymianinem, ani postać ani oblicze nie wykazują nam przedstawiciela wszechwładnej Romy; Katarzyna nie jest natchnioną, a w filozofach, prócz jednego po prawej stronie konsula umieszczonego, nie widać rozumu i przebiegłości sofistów, co ostatni stanęli na wyłomie upadającego poganizmu. Pobożni czy też nawróceni, stojący poza świętą, nazbyt są dzisiejsi, zarówno w wyrazie jak i fizyognomii; koloryt w stosunku do chwili i sceny za jaskrawy; typy, chociaż rozmaite, ale wcale nie oryginalne.

*W Leszku p. Müllera* kompozycja się rozpręga, plany się nie równoważą, w figurach brak rysunku, ale oblicza mają wyraz i obraz z tej strony czynią interesującym. W technice widać dorywczość i nierówne staranie; niektóre części, jak draperie Goworka, wojewody Mikołaja i Pelki szeroko i zręcznie są traktowane; zbroja zaś Leszka i szaty matki jego Heleny drobniagowo i bez smaku. W głowach i rękach też sama w oddaniu nierówność.

*Barbara p. Bakatowicza* lepiej w całości namalowana niż dwa powyższe obrazy, w kompozycji lepiej zrozumiana niż Leszek, w szczegółach, zwłaszcza stroju, dobrze wystudowana; ale w typach pozbawiona całkiem indywidualności. Wszystkie twarze są do siebie podobne, a figury kobiet mniej lub więcej teatralne w ruchu. W kolorystyce znakomite widać zdolności.

Nie ganimy naszym artystom tych wielkich ambicji, tych szlachetnych usiłowań, jakkolwiek one na ten raz nie wydały pożądanego owocu; chcielibyśmy tylko ażeby głębiej zastanawiali się nad przedmiotami, więcej wnikali w warunki sztuki. Niepowodzenie tych utworów nie leży właściwie w braku talentu, ale w braku wyrobienia. P. Głębocki z powodzeniem już traktował pojedyncze figury, jak to widziliśmy w św. Wojciechu, a nawet o wiele niższym od niego, św. Stanisławie. Tamte obrazy, pomimo ważnych usterek, nie były chybione: św. Wojciech z pogodą chrześcijanina przyjmował śmierć, św. Stanisław był szlachetny; ale w św. Katarzynie, gdzie wiele dziejowych i duchowych zgromadziło się żywiołów, gdzie

nie pojedynczy człowiek, lecz ludzkość cała, w chwili łamania się z nową ideą, wystąpiła, p. G. nie mógł podolać, i z braku dostatecznych studyów, tak pod względem formy jako i treści, nie domierzył zadaniu. Toż samo stało się i z innymi: w mniejszym zakresie każdy z tych artystów byłby się odznaczył, postępek jest widoczny, ale środki jeszcze niedostateczne na szerokie pole dziejowe.

Postacie podobne do burz powietrznych, przechodzące po ludzkości piorunem, falą, wicherem, stokrót są łatwiejsze do uchwycenia od tych, co naksztalt podziemnych żywiołów pracują w głębi cicho i nieznanie. Po przejściu pierwszych świat pozostał takim jak był, tylko gdzieś tam zrywała się skała, odświeżył grunt, wytrysnął kwiatek, obaliło drzewo; ale gdy drugie wybuchną, przeistacza się postać rzeczy lub świata, rzeki zmieniają kierunek, z dolin dzwigają się góry, w pył rozwiewają całe pokolenia. Czyżby jednak takich postaci tykać się nie należało i czekać aż przyjdzie w sztuce geniusz równy im doniosłości? O nie, bynajmniej! Wszakże ludzkość niemowlęcą ręką przez wieki kręśliła obraz Bogarodzicy, przez wieki kształtowała oblicze, do którego jasnowidzenia przyszedł dopiero nieśmiertelny Rafael. Kształtujmyż i my bohaterów wiary, dobijajmy się do coraz pełniejszego, jaśniejszego ich wyrażenia, nie ustawajmy ani na chwilę w pracy i pragnieniu, a jasne oblicza zstąpią ku nam i objawiają się w całej swą dostojność.

P. Kossowicz dał św. Joannę królową, rozdającą jałmużnę. Święta w królewskich szatach, z koroną na głowie, ponad którą zawisł krąg świetlany, zstępuje z kamiennych schodów z koszykiem w rękę, poważna, miła, i podaje chleb zgromadzonym biedakom. P. K. zrobił ogromny postęp; ze skromnych obrazów stalugowych, przeniósł się naraz w szerokie ramy i traktowaniem domierzył tym ramom, okazał dużo bogactwa i harmonii w kolorystyce, niepospolitą szlachetność w rysunku. Oblicze Joanny technie łagodnością, ruch jest poważny, biust piękny i dziewiczy; tylko że ta idealność, ten jakby powiew artystyczny, nie rozlewa się na całą figurę, nogi bowiem, począwszy od bioder, w stosunku do reszty ciała zawielkie i zgrube, ruch ich ciężki i niedostatecznie wytłumaczony. Kałéka co przyklekła przed świętą jest wyborna; artysta brzydota i kałéctwo zrównoważył szlachetnością. Obnażone i zbiedzone ciało, zamiast wstrętu, budzi litość i współczucie, bo nędzę fizyczną przesłania uczucie moralne, objawiające się głównie w obliczu. Zstępując do dalszych figur, jako to: chłopca za kałéką umieszczonego, starca w postawie stojącej górującego nad niemi, kobiety w głębi, natchnienie widocznie ginie; twarze są pospolite, wyraz obojętny lub wymuszony, w dziwnym kontraście ze szlachetnym, nowym i oryginalnym typem kałéki, z piękną postacią królowej. Kobieta z dworu królowej, niosąca za nią kosz z chlebem, wychylona i patrząca na ubogich, raczej ciekawa niż wzruszona, stanowi kontrast nie już ujemny jak tamten, ale dodatni; ona nam naznacza całą różnicę jaka istnieje pomiędzy działaniem narzuconem okolicznościami, między jałmużną daną w imię Chrystusa, a kawalkiem chleba rzucanym w rozartagnieniu; tamta zbawia i podnosi, zarówno dającego jak i odbierającego, ta przemija jak pusty krzyk dziecka, zapomniany w tej samej chwili od tego który go wydał i od tego który go słyszał. Artysta widocznie miał zamiar wykazać stosunek wzajemny, tajemniczy, jaki łączyć powinien dającego z obdarowywanym; ten stosunek choć w części uwydatnił pomiędzy kałéką a królową. Chleb podawany nasyci proszącą, bo ona wierzy; ale tego stosunku już niema z innymi figurami, one nie nie dodają do wyrażenia godności i znaczenia jałmużny chrześcijańskiej, a nawet mu przeszkadzają, zwłaszcza starzec wysuwający się niepotrzebnie ze swoją afektowaną fizygnomią. Krajobraz za tło figurom służący niedosć szeroko jest traktowany; kolor dobry, lecz obłoki nazbyt drobne i jednostajne, a figury poza służebnicą królowej się ukazujące, niedosć zneutralizowane, w pewnym oddaleniu zdają się być dopełnieniem stroju służebnicy. Pomimo tych wszystkich niedoskonałości obraz nietylko naznacza fazę w życiu artystycznym p. Kossowicza, ale potrafi w patrzącym uczucie religijne; bo, jakeśmy to już wyżej powiedzieli, główne figury, święta i żebraczka, pojęte w stylu wyższym, mają dużo szlachetności i uczuciem łączą się z sobą.

Subtelniej na rzecz się zapatrując, wypada nam jeszcze jedną artyście zrobić uwagę: jego królowa jest piękną raczej dla siebie samej, niż piękną dla drugich. Piękność dla piękności, w przedmiotach mitologicznych konieczna, w przedmiotach świeckich właściwa, nie wystarcza w przedmiotach religijnych, a zwłaszcza w takich, gdzie nam idzie o wykazanie to ważności sakramentu, to potęgi ofiary, to, jak w św.

Joannie, cnoty miłosierdzia i skuteczności jałmużny. Tu koniecznie uczucie przeważać, a piękność promienieć ku innym powinna, bo inaczej nie będzie pięknością chrześcijańską; na tém polu trzeba być w spólce z niebem lub z człowiekiem, samemu dla siebie być nie można. W epoce odrodzenia, ci co przyszli po Rafaelu niedosyć na to baczyli, i sztuka przestała być tłumaczem ewangelii. Umiejmy korzystać z błędów przeszłości.

*Pierwsza wróżba, p. Szermentowskiego*, kompozytka w której połowę interesu i wrażenia bierze natura, a połowę człowiek, szczęśliwie zrównoważona w tém swoim rozpołowieniu, w kolorystyce miła, a w oddaniu umiejętna, pomimo tych wielkich zalet, nie sprawia jednak głębszego na widzu wrażenia. Przyczyną tego jest brak namysłu w artyście, w skutek którego powstała niezgoda pomiędzy myślą a jej wykonaniem.

Przedmiot z natury swój należy do świata rzeczywistego. Dziewczyna przyszła do źródła po wodę, ale płynący strumyk nastroja jej myśl wyciągnięcia dla siebie wróżby z jego biegu; rzuca więc kwiatki: dwa już płyną, trzeci trzyma w ręku i myśla ściga znaczenie obrotu pierwszych. P. Sz., mając już pomysł, widocznie nie zastanowił się co z nim zrobić, czy go puścić w sferę fantazyi i przemienić w legendę, czy też zatrzymać w rzeczywistości, i z tego braku decyzji wypada jakieś pośrednie, połowiczne stanowisko i pośrednie wykonanie, niezdołne zadowolić ani realisty, ani idealisty. Drzewa, glazy, trawy, ani w kolorystyce, ani w traktowaniu nie pokazują życia, toż samo dzieje się i z dziewczyną; dla poety niema ona dość naiwności i wdzięku, czegoś niespodzianego i nowego, a dla tych co naturę żywem chcą pochwylić, ciało to niema miąższości, szaty gatunku, oblicze pewnego, określonego wyrazu.

A jednak, pomimo to wszystko, obraz jest ładny, tylko popatrzywszy nań chwilę, uchodźmy czémprędzej, ażeby neliłości wy rozum lub wrażliwa fantazyja z wyimaginami swemi nie wystąpiły i nie zatępiły nam przyjemnego choć przelotnego wrażenia. P. Sz., kształcąc się we Francji, gdzie krajobraz wyżej niż u wszystkich ludów współczesnych stanął, i wtedy nawet kiedy wszystkie inne rodzaje chył się ku upadkowi, pozostał na wysokości stanowisku prawdy i poezji, wzięt od swych mistrzów tylko stronę zewnętr-



WOJOWNICY Z SERBSKIEJ WOJEWODOWINY NA CZATACH.

na, tylko sposoby. *Gust, dystynkcyja, elegancyja*, tém są dla sztuki, czém modny i wdzięczny strój dla kobiety: zdobi ją i upiększa, ale nie czyni piękną, a tém bardziej nie jest nią samą. Również przymioty których nabył p. Sz. nie płyną z ducha rzeczy, ale z pewnego czasowego upodobania, znikome są jak moda i tak jak ona pretensji do prawdziwego piękna mieć nie mogą. W rysunku znać jakoby posiłkowanie się fotografią i wszystkie jej zalety i wady.

*Staw Smereczyński p. Schouppego*. Słońce zachodzi, góry piętrzą się ku niebu, im wyżej tém jaśniejsze, barwniejsze, wreszcie w lekką purpurę i blask złotawy odziane. Wielki staw szmaragdowy usiadł u ich stóp, ale pyszne góry nie raczą wrócić z obłoków na ziemię, przejrzyć się w jego zwierciadle; on dla nich małą kropelką. Tylko pokorne krzaczki, co jego brzegi a ich stopy wieńczą, i niebo, co nie gardzi nawet małemi, przegląda się w jego przeczystym zwierciadle, a tam gdzie staw nie sięga, sięgnęły świerki; choć je burze podarły w szmaty, one się pną i pną coraz wyżej. Napróżno huragany powyrywały im ramiona, pozrywały czuby, pogięły karki,—one muszą sięgać wyżej, bo to ich przeznaczenie. To nasze Karpaty!

P. Schouppé pojął co Karpaty mają w sobie wielkiego, co uroczego ma w sobie cichy wieczór wśród gór, i obraz jego jest piękny, piękny poezją i prawdą idealną. Gdyby jednak u stóp tej idealnej panoramy gór, na pierwszym planie zasiadła z całą swą surowością i szorstkością dzika natura tamtejsza, lub chociażby tylko jej napomnienie, myśl byłaby jeszcze pełniejsza, Karpaty ujęte z całą swoją potęgą i czarami. Wyrażamy to raczej jako życzenie, niż zarzut, bo artysta tworzy wedle siebie, a obraz tak jak jest, wygląda jak marzenie, wzniósłe, dumne a lekkie.

*Mogila Krakusa* tegoż artysty, nie dorównywa w wartości obrazowi gór. Chwila wybrana nader trudna: zmrok w samej naturze jest tajemniczy i nieujęty, cóż dopiero gdy się przeniesie w dziedzinę sztuki.

ki. Nietylko wielkie uczucie i myśl badawczą, ale szaloną technikę mieć trzeba, żeby podolać takiemu zadaniu. Są tam jednak miejsca piękne: cały daleki plan, i na krańcu horyzontu usypiający Kraków, i smukłe wieżyczki, na których skonała co tylko modlitwa wieczorna, i kopiec o pewniejszych zarysach, chociaż nie mogą podźwignąć całości nazbyt mętnej, nadając jednak obrazowi wartość artystyczną.

*Święty Franciszek p. Jasieńskiego* odbija w obliczu walkę, niepewność i ból; widać że zakonnik myśli śmierci pojąć nie może. Artysta nie dobił się jeszcze gruntu ducha; myśl przesuwa się po głowie zakonnika, wyobraźnia zniepokojona jest widzeniem, ale serce jeszcze milczy i współdziałaniem swoim nie potęguje działania wyobraźni. W stronie duchowej jest poczucie i zapal, ale go psują złe dobrane techniczne środki. Więcej spokojności, a nadewszystko prostoty, szczerości w wykonaniu, nadałoby obrazowi więcej powagi, a zatrzymanie się w porę przy wykończaniu, oszczędziłoby twarzy i brodzie białego wyswietlenia, które nie będąc naturalnym odbłyskiem indywidualnej cery, ale czemś z wierzchu narzuconem, psuje efekt, zamiast go wzmacniać. Ręce i akcesorya nie mają już tego błędu i nierówności lepiej są traktowane.

*Zuzula p. Brodowskiego i Andaluza p. Kossaka*, temata wzięte z podań szlacheckich, dotyczą nieprzedstawianej dotąd u nas plastycznie strony życia społecznego i domowego naszego narodu, odzwierciedlają się dźwiękiem dawno niesłyszczanym, chociaż dotąd tkwiącym w wspomnieniach ogółu. Hodowanie koni i przywiązanie jakie nasi przodkowie mieli do tych zwierząt, co im w trudach bojowych dopomagały, z ducha ludu całego płynęło. Słowianie więcej niż każdy inny lud rozumieli się z naturą, ona z nimi dzieliła wszystkie troski i tryumfy, wszystkie nieszczęścia i rozkosze rodzinne. Gwiazdy, wiatry, zwierzęta, ptaki, przepowiadały złe i dobre chwile, dzieliły złe i dobre losy; to też każda okolica, każdy kątek naszej ziemi, każdy step, kurhan i każda rodzina miały swoje legendy, swych aniołów stróżów w naturze. Chrześcijaństwo zastało u Słowian tę wiarę, to życie z naturą i uszlachetniło ten stosunek, nie osłabiając go bynajmniej.

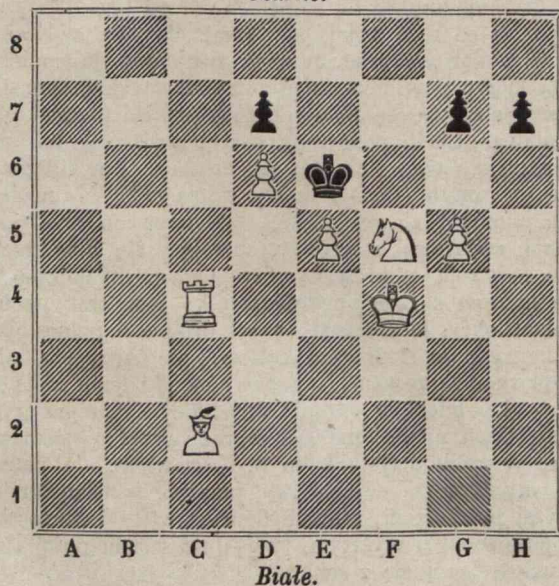
Bohaterką legendy przedstawionej przez p. Brodowskiego jest Zuzula, klacz arabska. Sławny wojownik (Ob. dod.)

## SZACHY.

### ZADANIE CLXXII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



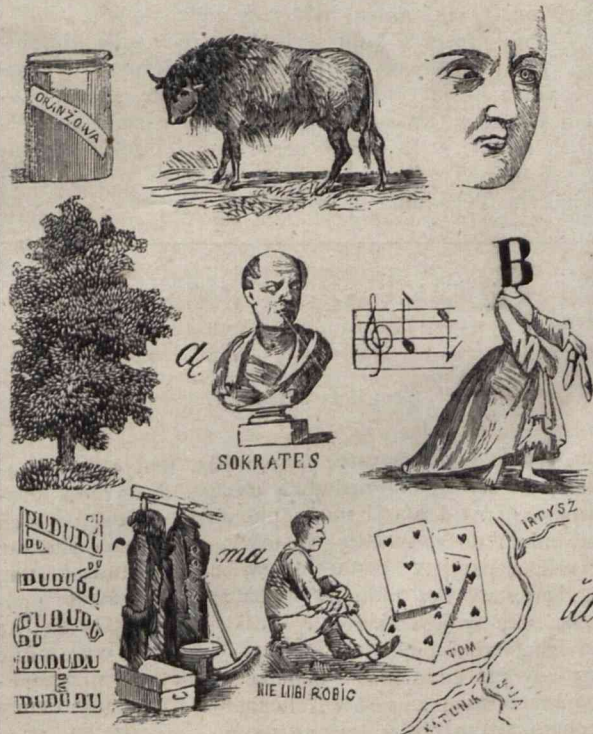
Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 471.

Białe.

Czarne.

- 1) D 4—C 3 + . . . . . 1) E 4—F 4.
- 2) H 2—F 2 + . . . . . 2) E 3—F 2 biorą.
- 3) E 4—E 4 + . . . . . 3) G 3—E 4 biorą.
- 4) C 3—E 2 + i mat.

## REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 208.

Zemsta powiodła już nie jednego do więzienia.

(Dodatek.)

starosta warecki w jednej ze stoczonych przez siebie bitew utracił konia i w tej ostateczności kaze sobie podać najulubieńszą klacz swoją, Zuzulę. Zuzula się zbliża, prowadzona przez pacholka; starosta garnie się ku niej niecierpliwie i chce przyspieszyć przybycie ulubionego zwierzęcia, wyciąga ku niemu ręce. Wtem klacz spostrzega, że z ręki pana krew się broczy i wspina się z przerażeniem i trwogą, która ma w sobie coś ludzkiego. Podanie mówi, że zrzebie które potem miała naznaczone było czerwonymi plamami i te plamy dotąd się w rodzie przywiązanej i wrażliwej klaczy zachowały. P. B. scenę tę przedstawił malowniczo i poetycznie: jest tam ruch i życie, warunki konieczne dobrej kompozycji; światłocien rzucony szybko i wrażliwie. Epizod cały uderza prawdą i przywiązuje pięknością kolorytu. W typach szlachty radziliśmy widzieć więcej oryginalności i głębsze studia.

W *Andaluzie* p. Kossaka, rzecz wzięta z poematu W. Pola *Pacholę hetmańskie*, a do obrazu wybrana chwila, w której Jan Tarnowski hetman, idąc przeciw Tatarom, pod Glinianami koniowi swemu porucza zwołanie rozprzeczłego stada. Poeta tak mówi:

„Kiedy na szlaku opadły już chmury,  
Patrzy pan hetman, a to szlachta jedzie,  
Co aż od Brzeźna szła na Gologóry,  
Słyszając że hetman w pole wojsko wiedzie.  
Więc jak daleko zajrzeć tylko okiem,  
Na wszystkie strony po polu szeroki  
Tabun luzaków w polach się rozproszył.  
I patrzą wszyscy: „To nie mamy koni!”  
Tedy pan hetman bardzo pojunoszył,  
Bo na wysoką mogiłę pogoni  
Na siwym ogrze, co bywał najtrwalszy  
I z wszystkich rzawych koni najzuchwalszy.  
I zanim pojmiem o co panu chodzi,  
Zesiadł pan nagle z hardego rumaka  
I już na ziemi kantar i kulbaka,  
A koń łeb zadął i dokoła wodzi  
Okiem, za stadem w polach rozproszonym.  
Więc go przybyło zda się drugie tyle,  
Gdy z wiatry puścił grzywę na mogile  
I rżąc zuchwale nakrył się ogonem.  
Hetman stał w miejscu i na krok nie ruszył,  
A Andaluza tak rżał i tak zusył  
Rwąc się przy panu, iż każdy się zdumiał,  
Że koń tak hardy pana wyrozumiał,  
Bo po mogile opędał piersieniem  
I w pola dawał hasło wielkim rżeniem.

Jakoż niedarmo, bo rża i rumaki  
I ztąd i zowąd po chwili niejakiej  
I dudni ziemia, tabun odzew dawa,  
I coraz bliższa i straszniejsza rżawa.  
Do hurtu lecą konie z każdej strony  
I w hurt je spędza koń nieunoszony  
Pana hetmana, co stał rżenie w okół,  
Jak kuropatwy spędza lotny sokół...”

P. Kossak odczuł namiętnie ten ustęp poety. Długie i przerywane opowiadanie w czyn się zmieniło, i ten czyn uderza potęgą, dzikością, której niema w poemacie. Patrząc na tę improwizację ognistą, zdaje nam się że ta burza co huczy w powietrzu i chmurami rzuca, i druga żyjąca burza co pędzi ku wierchołkowi, koło którego obiega król stada, porywa nas z sobą, i kiedy przy czytaniu poematu, namysłiwszy się, rozumiemy trwogę szlachty o drogie życie hetmana, przy obrazie czujemy ją wraz z szlachtą. Improwizacja w malarstwie jest czemś różnym od improwizacji żywym głosem wypowiedzianej i z powodu warunków sztuki plastycznej, czemś trudniejszym do odczucia. Improwizacja ustna, płynąc w czasie, choćby gotowości w słuchacz nie zastała, daje mu jeszcze sposobność do nastrojenia się, choćby z wolna, na ton mówiącego; improwizacja plastyczna, bynajmniej skawicą rozświecony; jeżeli nie posiadasz dość bystrego oka, ażeby przy tym przelotnym świetle ogarnąć cały przedmiot, nie zdołasz tym samem i obrazu właściwie ocenić; jeżeli przeciwnie przytomny byłeś chwili tworzenia, zobaczywszy nawet usterki w rysunku lub w kolorycie, odchodząc powiesz sobie: a jednak to piękne!

P. Gryglewski przedstawił *Bibliotekę jagiellońską* w dwóch ustępach. W perspektywie cały urok leży w harmonii linii i grze światła; niechaj jednego z tych warunków zabraknie, a obraz natychmiast staje się albo martwą kopią, albo mętnym wspomnieniem, bo jakkolwiek pomnik architektoniczny ma już swoje oznaczoną harmonią, artysta, przenosząc go w dziedzinę malarstwa, nie może tej harmonii skopiować, ale musi utworzyć inną, odpowiednią warunkom swjej sztuki, i jeżeli w pierwszym rzucie oka w wy-

borze punktu widzenia chybił, napróżno światło poetyczną swą szatą zechce przyodziać pomnik; albo szata zsuwać się będzie i odkrywając tu i owdzie nagi szkielet odejmie jedno utworowi, albo też linie oświecić się dostatecznie nie dadzą i obraz mętnym uczynią. W jednym z ustępów biblioteki jagiellońskiej, przedstawiającym tę część gmachu, w której umieszczone są drzwi wchodowe, p. Gryglewski, oprócz niedostatecznie wytłumaczonego skrzywienia linii dach podpierającej, szczęśliwie połączył oba warunki. Światło może za żywo, zważając na powagę linii, obejmuje obraz, ale go obejmuje jednolicie, kontury są wyraziste, ogólne zarysy jasne i śmiało schwyczone. Drugi ustęp, przedstawiający krużganek, jest mętny, światło po nim majaczy, ale go nie oświeca i pomimo wielu krzyżujących się linii, obraz jest pusty i zimny.

Archanioł Uriel p. Kaniewskiego, przedstawiciel siły, potęgi, poświęcenia, niebieski posłannik, natchnienie obowiązku ludziom niosący, zstąpił na ziemię i dotyka organu. Sztuka jest więc obowiązkiem, ma być siłą i potęgą, muzyka ma rozgrzmieć i zbudzić serce do poświęcenia. Pieśnią świat stworzony powitał swego Stwórcę, pieśnią lud izraelski czcił jedynego Boga; poganie o muzyce sfer mają pojęcie i na dzień ostateczny trąby się odezwą. Więc też anioł siły kładzie rękę na organach. Podanie dało mu gwiazdę na czoło, miecz ognisty w rękę, odziało purpurą na znak panowania, a artysta utrzymał go w tym tradycyjnym stroju, tak odpowiednim do wyrażenia myśli.

Takim jest pomysł; przejdźmy teraz do wykonania. Pan Kaniewski czuł widocznie potrzebę majestatu w tego rodzaju figurze i zrobił ją więcej niż naturalnej wielkości. Nie mamy nic przeciw temu: malarstwo, odnosząc się do zmysłu widzenia, przestrzenią działać musi i powinno. Anioł siły, nawet fizycznie biorąc, może być wielki, tylko że ta wielkość rozmiarów, ta kolosalność kształtów, skupiać się wewnątrz i ztamtąd dopiero jak siła duchowa promieniować ku patrzącym powinna. Otóż anioł p. K. jest wprawdzie traktowany w stylu wyższym, nie jest to figura wielkich rozmiarów, ale postać niepospolita; tylko niedostatecznie skupiona w sobie, niedość energiczna, lekka w ruchu i promienista w obliczu. Zadanie było trudne, bo samo podanie religijne już w sferę wysokiej fantazyi wkracza, a w tej sferze zupełnej swobody trudniej jeszcze żeglować człowiekowi, niż na polu latarni dogmatu oświeconem lub drogoskazami historyi wytkniętem. Artysta, wkraczając w tę wysoką sferę, najmniej ma danych, żadnego ogólnego i już gotowego pojęcia i wszystko sam tworzyć musi; gdy tymczasem ci co przeciw niemu stają, mają za sobą cały osobniczy arsenał fantazyi i każdy łatwo może zarzucić i czuć się uzasadnionym, w swych zarzutach. Na tem polu tylko wiele mistrze zwyciężają, ale też na niem nawet rozbicie ma swoje znaczenie i zasługę. Archanioł Uriel p. K., oprócz wzniosłości w samym pomysle, ma jeszcze za sobą styl religijny.

Królowa światłości p. Zarzeckiego, obraz pojęty po średniowiecznemu, jest jednym z tych utworów, do których zrozumienia i odczucia potrzeba ciszy i czasu. Przesłizgnie się po nim wzrok roztargniony, a nawet wzrok bystry, i dopiero po długim wpatrywaniu się, gdy w myśli widza świat rzeczywisty zacięrać się zaczyna, zjawisko występuje i opowiada swoje tajemnice. Pomysł obrazu jest głęboko mistyczny i zarazem pełen poezji. Wśród ciemności świat otaczających zstąpiła niewiasta, co ma zetrzeć potęgę czarta; blask bije od tej postaci, rozprasza ciemności, a przy tym blasku widzimy kulę ziemską w powietrzu pośród chmur; złego ducha w postaci smoka trzymającego ją w swych szponach, na którego głowę owa przepowiedziana przez proroków, wyczekiwana przez ludzkość, kładzie świętą stopę. Matka Najświętsza nie uderza nas pięknoscią i majestatem, nie porywa wdziękiem; majestatem jej spokojność, pewność.

Przedstawicielka obowiązku, ona przyszła jak przeznaczenie i czujemy że przemożona są bramy piekła. Dzieciatko Jezus, to miłosierdzie stojące przy obowiązku, to obiecanie zadowolenie i szczęście po jego wypełnieniu. Takie jest pojęcie obrazu. Wykonanie, w niektórych częściach słabsze, w ogólnym swym zarku staje na równi z wielkosciami zadania. I tak: cała postać Matki Najświętszej, zarówno w rysunku jak w kolorycie, naznaczona jest prostotą i skromnością, szaty łagodnie i naturalnie spływają, cisza i powaga w duchu zgadza się z wyobrażeniem jakie sobie o zstępowaniu duchów tworzymy, a atmosfera co ją otacza, i światłość w gwiazdach rozpryskująca się około jej głowy, i promień co wysuwa się z pod stopy, ma w sobie jakąś łagodną ponurość, uciszącą namiętności i usposabiającą widza do rozmyślenia.

Oblicze Maryi nie jest już tyle zadowalające; artysta widocznie unikał wdzięku, bo wdzięk byłby tu nie na swoim miejscu, odejmowałby surowość, o któ-

rá tu właśnie przez wzgląd na złego ducha chodziło; miałoby jedność wrażenia; ale nie zdołałby tej surowości uczynić królewską, a tém mniej Boską. Czoło jest myślące, oczy spuszczone łagodnie; ale około ust raczej przymus i nieukontentowanie, aniżeli pewność i przeświadczenie czuć się daje. Dzieciatko Jezus mniżej surowo pojęte, bo jakieś to już powiedzieli, ono w tym obrazie ma dodawać otuchy w miłosierdzie Boże; naturalne, wdzięczne, naiwne, w uśmiechu rozumne, jest prawie bez zarzutu. Jak ono pieszczotliwie tuli się do łona matki, z jaką swobodą siedzi na jej ręku, z jakim naiwnym zadowoleniem patrzy na upadek złego ducha!

Talent p. Zarzeckiego mało ma w sobie plastyczności cielesnej, mniej jeszcze ziemskiej energii i życia rzeczywistego; pod jego pędzlem nie okrąglą się kształty ludzkie, nie rzeźbią oblicza i postacie, nie szeleszczą materye, ciała nie mają miąższości, światło prawdy realnej; ale zato w jego utworach spostrzegamy stałą cześć dla ideału, mniej lub więcej uwydatnioną prawdę duchową i energią życia wewnętrznego, plastykę w tajemniczym półcieniu tonącą, w traktowaniu delikatność i przejrzystość, w ruchu spokojność i lekkość, doskonale godzącą się z mistycznością pomysłów. Królowa światłości, wykonana na wielką skalę, jak tego natura pomysł się domaga, mogłaby w jednym z naszych kościołów, tak ubogich w dzieła religijne, nieposłannie zająć miejsce.

P. Simmler dał nam portret naturalnej wielkości, przedstawiający mężczyznę w szubie futrzanej, zarzuconej na jedno ramie, z czapką w ręku. Ruch tej postaci tak jest swobodny i naturalny, oddanie takie plastyczne, iż zdaje nam się że ona wychodzi z obrazu. To nie malowanie, ale życie samo, ale człowiek ze swoim wczoraj, dziś i jutrem, stanął przed nami; to indywiduum najkompletniejsze, jakie kiedykolwiek wyszło z pod pędzla tego artysty. Taki portret należy do ogółu, to jego własność niezaprzeczona; rodzi na pośrednie tylko może mieć do niego prawo, prawo przechowania nieskazitelnie do chwili, w której przyszłe muzeum narodowe go zażąda.

Mówiąc o obrazach, musimy zrobić jedną uwagę dotyczącą podpisów pod obrazami, które często albo nie oznaczają dostatecznie, wybranej przez artystę chwili, albo też w krótkim czasie odejmowane są od obrazów, jak to zrobiono z ustępami poezji, które artyści pod utworami swemi umieszcili. Nie wiemy z jakich się to stało powodów, bo lubo jesteśmy zdania że obraz sam przez się mówić powinien i przestaje być obrazem rzeczywistym, od chwili gdy do jego zrozumienia długich objaśnień potrzeba, to nie wypada ztąd jednak, aby obraz przez objaśnienie wybranej chwili miał tracić, lub też żeby ono mogło być wbrew przeciwnym obrazowi. Ustęp poezji umieszczony obok obrazu, może wprawdzie zawstydzić niekiedy artystę, ale może też niekiedy podnieść znaczenie utworu, jak się to dzieje z obrazem p. J. Kossaka; co więcej, widz porównyując jedno z drugim, łatwiej i szybciej przychodzi nietylko do pojęcia i zrozumienia obrazu, ale jeżeli przedmiot wzięty jest z poematu, do pojęcia różnicy pomiędzy sztuką idealną a plastyczną i przymiotów tak jednej jak drugiej. W obec katedry gotyckiej, człowiek jakiegokolwiek wyznania i kraju, byle miał zmysł artystyczny, przystanie zdziwiony i wzruszony; ale chrześcianin tylko odczuć i zrozumieć całą głębię tej poezji jest zdolny.

L. Buszard.

## Fotografia w Warszawie.

Pomiędzy wynalazkami któremi wiek nasz dziewniasty okupi wiele swych wad i błędów u potomności, jednym z najcudowniejszych jest bezwątpienia fotografia. Geniusz człowieka wznosił się tu wysoko, zmusił bowiem słońce do udziału w pracy. Skromny był jednak, jak zwykle, początek tego wielkiego podboju naukowego; prawda bowiem nie zdobywa się nigdy całkowicie i odrazu, ale powolną pracą i trudami tysięcy ofiar. Wedgwood, który pierwszy powziął przynajmniej słaby odblask idei jaka stworzyła fotografię, nie domyślał się może przyszłości swego sprostowania. Niepce myśl tę widział już dokładniej; lecz później dopiero Daguerre postawił ją w takim kształcie, iż mogła być badana przez naukę i rozwijana za pomocą dociekań i doświadczeń. Pracownikom na tem polu nie brakło i myśl raz rzucona, szybko była posuwana, ulepszana i stosowana do praktyki.

Z pomiędzy wielu prób i doświadczeń, trzy jednak głównie ulepszenia wpłynęły stanowczo na rozwój przemysłowy Daguerrowego wynalazku. Pierwszem było użycie chloru i pary bromu, zaprowadzone przez p. Claudet, dla sprawienia większej czułości powłoki

najodowanej blaszki srebrnej; tym sposobem czas potrzebny do zdjęcia obrazu skrócił się do  $\frac{1}{30}$ , i zamiast działania dwugodzinnego, potrzeba było tylko czterominutowego. Krok ten pierwszy, skracający czas tak potężnie, zdawał się cudownym. W pomoc przysłała mu optyka, przez wynalezienie skombinowanych szkieł optycznych, zastosowanych do kamery ciemnej, według obliczeń profesora Petzval w Wiedniu. Był to drugi krok olbrzymiego postępu; robienie bowiem portretów stało się możliwem, bo światło zostało tak skoncentrowanem, że miejsce potrzebnych minut zastąpiły sekundy. Trzecie nakonie i najważniejsze ulepszenia daguerrotypii winniśmy p. Fizeau we Francji, który przez użycie chlorku złota i podsiarkanu sodu, zdołał utrwalic obraz na srebrnej jodowanej blaszce odbity. Odtąd daguerrotypia z laboratoryj i pracowni naukowych przeszła naprawdę w ręce przemysłu i stała się jedną ze znakomitszych jego gałęzi.

Doświadczenia Daguerra, zakupione z woli ciała prawodawczego francuskiego i ogłoszone dla użytku ogólnego w 1839 r., znalazły i u nas zwolenników, którzy w zaciszu gabinetów naukowych przedsięwzięli i wytrwale prowadzili próby.

Pierwszym u nas, który się pomyślnym wypadkiem owych prób mógł poszczycić, był szanowny profesor Marcin Zaleski; skierował on najprzód usiłowania swoje do zdejmowania krajobrazów, i już w 1842 r. widziano u niego kilka prac tego rodzaju, między którymi widok Łazienek uderzał. Miło nam więc uznać tę jego zasługę, tém bardziej że zespółła się ona z imieniem tak dobrze znanem w sztuce krajowej. Wiadomo nam także iż około tego czasu daguerrotypią zajmowali się pp. Prazmowski, Karpiński, a może i wielu innych; lecz prace ich, jako czysto specjalne i naukowe tylko badania, nie mogły wchodzić w zakres naszych poszukiwań, przemysłowy rozwój daguerrotypii na celu mających. Otóż pierwsze daguerrotypy dla publiczności robione były w Warszawie w 1843 r. Zajmował się ich przygotowaniem niejaki Scholtze z Niemiec przybyły, ulokowawszy się na tarasie kamiennym od strony Wisły w pałacu namiestnikowskim, a następnie w domu Dückerta, gdzie mieszczą się wody mineralne. Portret nieutralny sposobem p. Fizeau, lecz tylko wywołany merkuryszem, kosztował 50 złp. Następnie drugi jakiś Niemiec, którego nazwiska nie mogliśmy się dowiedzieć, mieszkający na Kanonii, wyrabiał również nieutralne portrety w 1844 r., a tegoż lata profesor Zawodziński z Płocka otworzył swą pracownię zdaje się w dalszym ciągu po Scholtzem w domu Dückerta. Lecz czy to nowość przedmiotu, do którego ogół nie miał jeszcze zaufania, czy też obojętność tegoż ogółu, lub może mało wydoskonalony sposób zdejmowania portretów, a najpewniej wszystkie te trzy przyczyny razem, spowodowały upadek tych pierwszych zakładów wyrabianych daguerrotypy w Polsce. Dodać musimy że przedsięwzięcia te nie miały cechy stałej i wyrabianych portretów nieutralnych, nie pozostawiły żadnej po sobie pamiątki. Zakład jednak w domu Dückerta utrzymywał się dwa lata, prowadzony czas niejaki przez p. Kosińskiego, po którym objął go w 1845 r. Szczodrowski dr. filozofii przybyły z Poznania, a następnie przeniósł do hotelu polskiego. Jedynym jego uczniem był p. Jan Mieczkowski, posiadający obecnie swój własny zakład fotograficzny w Warszawie.

W tym także czasie, bo w kwietniu 1844 r., p. Karol Beyer wyjechał do Paryża i tam na wielkiej wystawie przemysłowej miał sposobność widzieć prawdziwie dobre portrety, a zarazem nabyć głębszej znajomości sztuki ich zdejmowania. Za powrotem do Warszawy, we wrześniu tegoż roku, otworzył on pierwszą pracownię oszkloną w pałacu ordynatów Zamojskich, w oficynie przy ogrodzie reformatorów.

W kilka lat później, zachęcenie dobrem przyjęciem zakładu p. Beyera, który w domu Zamojskich sześć lat istniał, otworzyli swoje pracownie: Enge, Wilnow i Blumenthal. Zamiłowanie jednak ogółu do daguerrotypów było zawsze ograniczone; cena pojedynczego portretu, przy schyłku tej sztuki, wynosiła 8 złp., a mimo to niektóre zakłady po jednej ledwo osobie dziennie odbijały. Rozumiemy się że w takich warunkach niepodobna było myśleć o ulepszeniach w sztuce i dlatego też warszawscy fotografici, korzystając skwapliwie z odkryć czynionych zagranicą, niewiele mogli przyczynić się do jej postępu.

Na zachodzie jednak powoli przygotowywała się radykalna zmiana: na gruzach daguerrotypii zaczęła wykwitać fotografia. Talbott, spółczesny Daguerrowi, położył pierwsze jej zasady, przygotowując na papierze klisze negatywne (ujemne, odwrotne) i starając się przenieść z nich wzierunek na inny papier. Myśl Talbotta ulepszył Niepce de St. Victor, używając białka do powlekania szkła, na którym przygotowywano klisze. Nieczułość powłoki białkowej nie dozwalała

zdejmowania portretów; ograniczano się więc na widokach, których zdejmowanie, jako rzeczy martwych, było łatwiejsze. Dopiero odkrycie Szkota Archera, który białko zastąpił kolodionem, nadało fotografii ową dzisiejszą świetność i zapewniło jej pomyślny rozwój. Odtąd w dziedzinie fotografii nie uczyniono odkrycia równej wartości, wszelkie bowiem najnowsze ulepszenia dotyczą drobnych tylko szczegółów, nie zmieniając ogólnej zasady i trybu postępowania. Nie można jednak zaprzeczyć iż wydoskonalenie szkieł, zaprawy kolodionu i t. p., przysłużyło się do ułatwienia i postawienia fotografii na dzisiejszym jej stanowisku świetności.

W Warszawie ściśle stosowano się do odkryć zagranicznych; gdy tam ukazała się fotografia papierowa, próbowano jej i u nas. Pierwszym który dla publiczności rozpoczął u nas robić fotografie, był Józef Giwartowski; nauczysz się tej sztuki w Frankfurcie nad Menem, otworzył swój zakład w pałacu Zamojskich. Były to duże portrety, starannie retuszowane i kolorowane, lecz nie przystępnej dla ogółu ceny, sztuka bowiem kosztowała od stu do sta pięćdziesięciu złp. Zakład p. Beyera nie pozostał również w tyle, pospieszając z wprowadzeniem u siebie tej nowości. Już poprzednio p. Beyer, mieszkając przy ulicy Piwniej w domu Magiera, korzystał z obserwatorium tamecznego przy wykonywaniu rozlicznych prób. Główne jego usiłowania dotyczyły fotografii, która wychodziła wcale nieźle; gdy jednakże trzeba było zdejmować fotografie na papierze dla zyskania obrazu ujemnego, a z tego raz drugi przenosić je na inny papier, co sprawiło groszkowatość, pochodzącą od wątku papieru i zmuszało do starannego retuszu, nie ustając w próbach, wstrzymał się p. Beyer z wprowadzeniem tego sposobu do zakładu dla publiczności otwartego.

Notujemy tutaj nawiasem, iż obserwatorium Magiera szczęśliwym wypadkiem przez pół wieku z górą służyło za siedzisko naukowych doświadczeń.

Tak stały rzeczy do 1851 r., w którym otworzoną została pierwsza powszechna wystawa w Londynie. Archer zrobił odkrycie swoje w tym właśnie czasie, a lubo prac jego, jako spóźnionych, na wystawie nie przyjęto, stały one jednak gdzieś przy wyrobach optycznych. Pan Beyer, zwiadczył wystawę, ocenił wartość wynalazku, a nauczysz się go od samego Archera, po powrocie do Warszawy, zabrał się natychmiast do fotografii kolodionowej. Tym sposobem zakład p. Beyera, przeniesiony na ulicę Warecką, pozostając w ciągłym postępie, utrzymywał się nie tylko pomyślnie, kiedy inne upadały, ale jeszcze współzawodniczącym nie dał się wyprzedzić w zajmowanym przez siebie pierwszorzędnym stanowisku. Publiczność zaczęła nabiierać więcej gustu do fotografii; mnożyły się więc dość licznie zakłady w Warszawie i na prowincyi. W tym fachu, podobnie jak i w innych, upadające firmy zastępowano nowymi, niektóre zaś, zdolawszy przetrwać gorsze chwile, utrwaliły swą wziętość. Enge, Geisler, (dziś przeniósł się do Radomia) Blumenthal posiadali swe zakłady mniej więcej w pierwszych chwilach powstania fotografii i łamali pierwsze trudności tej sztuki. Pomimo jednak przybytku znacznie większych zakładów, jak p. Sachowicza, Lacoura i innych, zajmowano się tylko zdejmowaniem portretów na żądanie osób przybywających do pracowni.

Nie możemy przemilczeć, iż do spopularyzowania u nas fotografii bardzo wiele przyczynił się zakład pp. Skalskich, niepozorny i ubogi, bo istniejący przed czterą laty przy rogu ulicy Bednarskiej i Furmańskiej. Skalscy wyrabiali przedewszystkiem tak zwane *panotypy*, czyli odbicia na ceratce, po cenach tak niskich (zaczawszy od 3 złp.), iż tym sposobem znęcali do siebie niezmiernie massy publiczności.

Mimo to jednak fotografia nie dosięgła jeszcze dzisiejszego swego zakresu; olbrzymi jej rozwój rozpoczął się dopiero z wprowadzeniem kart wizytowych czyli biletów fotograficznych. Nowość ta przyszła z zagranicy i szybko się rozpowszechniła u nas. Niemal do tego przysłużył się przed dwoma laty powstały zakład p. Mieczkowskiego, o którym wspominaliśmy wyżej. Posiadał on już dawniej swoje pracownię w domu Łagiewnickich od 1853 r., a fotografiom jego ówczesnym dzienniki nie skąpiły pochwał. (1) Następnie powróciwszy z długiej podróży po kraju i zagranicę, p. Mieczkowski rozwinął swój zakład na obszerną skalę w domu Piotrowskiego, przy ulicy Miodowej, i co najważniejsza, nadał mu przedewszystkiem charakter fabryczny. W krótkim przeciągu czasu zdołał zgromadzić mnóstwo portretów w formacie biletowym znanych u nas osobistości wszelkiego rodzaju, tysiące

kopii i reprodukcji. Oprócz nagromadzenia tych zbiorów, p. Mieczkowski umiał je rozpowszechnić i rzeczywisty niemi handel zaprowadził. Wkrótce więc po wszystkich prawie księgarniach, sklepach papieru i galanterij, zaczęto sprzedawać fotografie biletowe po cenie 2 złp. za sztukę. Towar ten, wyrabiany dobrze, trafiając szczęśliwie na chwilę mody, licznych znalazł nabywców; wiele więc zakładów fotograficznych zajęło się wyrabianiem reprodukcji.

Ażebym powziąć wyobrażenie do jak znakomitych rozmiarów dochodzić może ten handel, dość zdaje się będzie jeżeli powiemy, iż jeden zakład p. Mieczkowskiego w 1862 r. wyrobił 237,000 sztuk biletów fotograficznych, prócz większych. Wszystkie te portrety wyrobione zostały i dobrze i tanio, zakład bowiem, kontentując się małymi zyskami, znaczny odstępuje rabat kupującym w większych partyach, mianowicie zaś księgarzom, którzy mając tak wysoki procent (50%), mogliby dla publiczności cenę biletowych fotografii obniżyć. Jesteśmy przekonani iż podobną cyfrę dostarczył handlowi i zakład p. Beyera, który mniej produkując odbić, stara się o dobre oryginały. Temu także zakładowi winni jesteśmy kilka nowości w ostatnich czasach wprowadzonych. Z pracowni to p. Beyera wyszły pierwsze stereoskopy widoków Warszawy i okolic naszego grodu. Jeszcze przed osmą laty p. Beyer robił pierwsze stereoskopowe widoki, i były one na wystawie przemysłowej w Warszawie, (gdzie, mówiąc nawiasem, tylko pp. Beyer i Sachowicz zyskali pochwały), lecz w porównaniu z dzisiejszemi, nie były wcale osobliwe. Postęp fotografii i tu pozwolił na udoskonalenia, a mianowicie użycie tak nazwanych suchych preparatów (klisza robi się na szkło, przy pomocy jodowanego kolodionu i kwasu garbnikowego) dozwoliło bez trudności na kilkodniowe nawet oddalenie się z laboratorium, dla zdjęcia zamierzonego widoku. Nowy ten sposób, podany w broszurze Majera Russel, dokładnie zbadany został przez p. Beyera, a stwierdzony próbami w osobnym, przy zakładzie istniejącym, doświadczałym laboratorium, zastosowany został do roboty widoków stereoskopowych. Wypracowanie takowych powierzone miał sobie p. Olszyński, współpracownik zakładu, a pojmując tę rzecz artystycznie, wykonał widoki wniczem nie ustępujące tego rodzaju zagranicznym. Przyrząd tak nazwany sekundowy (pierwszy egzemplarz tego przyrządu sprowadzony został przez p. Gebetnera, posiadającego zakład fotograficzny przy ulicy Senatorskiej) pozwoli zapewne na zdejmowanie scen rozmaitych, choćby nawet o najżywszej akcyi, byle tylko preparata były dość czule, gdyż na zdjętych widokach dostrzedz można sprzysy kół i nogi końskie w powietrzu, do czego potrzeba tylko cząstki jednej sekundy.

Z zakładu p. Beyera widzieliśmy także wyszłe portrety niektórych osób w lupkach. Ten rodzaj przemysłu fotograficznego, u nas jeszcze w kolébcie pozostający, rozwinął się bardzo w Paryżu, gdzie mnóstwo rąk zatrudnionych jest wyrobem i szlifowaniem szkieł lupkowych, osadzaniem drobnych fotografii w pierścionki, brosze, kolczyki, szczyrki i t. p. przedmioty. Toż samo nie rozwinął się tu jeszcze przemysł wyrabiania fotografii drobnych do guzików, spinek i t. p., którymi zarzucają sklepy galanterijne. Do nas przychodzą one w znacznej ilości z zagranicy, lubo pozbawione żywszego interesu, gdyż zawierają portrety obcych nam znakomitości. Dziś nasze fotograficzne zakłady nie potrzebują się temi drobiazgowymi pracami zabawić, mając lepszy zarobek na reprodukcjach, biletach, portretach, których rozmaite gatunki nie przeszły jeszcze kapryśnych odmian mody.

Chromofotografie wykonywane u p. Beyera, bilety na papierze porcelanowym u p. Mieczkowskiego, pyszne retuszowane fotografie Sachowicza, wyborne wielkie portrety Fajansa, są dopiero na początku swego powodzenia. Spodziewać się jednak trzeba iż z czasem i u nas fotografia szukać będzie nowych dróg odbytu, a wtenczas wizerunki lupkowe lub do spinek posiadać będziemy własnej roboty.

W artykule naszym idzie nam przedewszystkiem o przedstawienie historyczne rozwoju i statystycznego znaczenia tej gałęzi nowożytnego przemysłu; nie możemy więc rozbiierać z punktu artystycznego tych licznych albumów i kolekcji, jakie tutejsi fotografici przygotowywali, zastępując fotografią wyroby litograficzne. Prace pp. Beyera (album warszawskie, krakowskie, starożytności, medale i t. d.), Fajansa (nowo tworzące się album malarzy polskich z wystawy Towarzystwa zachęty sztuk pięknych), Mieczkowskiego, Sachowicza, jeżeli tylko zdołają się oprzeć działaniu czasu, oddadzą sztuce równe usługi, jak rylec i krédka.

Nie możemy także pominąć bez uwagi prób fotografii, a mianowicie odbić starych druków, ręko-

(1) Patrz Dziennik Warszawski z 1855 r. nr 342.

piśmiennych zabytków, tudzież autografów. Sposób p. Pilińskiego, który w Paryżu takie znalazł powodzenie i niejedną bibliotekę w białego kruka zaopatrzył, ma być zastosowany, przy sprzyjających okolicznościach, w zakładzie p. Mieczkowskiego, który nawet podobno ma sprowadzić w tym celu p. Pilińskiego. Tymczasem widzieliśmy już wyszłe z zakładu p. Beyera odbicia fotolitograficzne listu Mieczkiewicza. Trudności więc techniczne zostały pokonane, idzie tylko o zastosowanie przemysłowe fotografii, a mianowicie o handlowy zbyt reprodukcji; a jeżeli ogół okaże tu równe jak do fotografii zamilowania, nowa ta gałąź może się pomyślnie ustalić i oddać niemałe przysługi bibliotekom, zbieraczom, starożytnikom, upowszechniając rzadkie rękopisy, autografy i kosztowne a niepodobne dziś do przedrukowania w oryginalnej formie druki.

Toż samo od rozwoju fotografii oczekują niemało jeszcze posług nauki przyrodzone i medyczne; odbicia bowiem z natury przedmiotów naukowych anatomicznych, niepróbowane u nas dotąd, (1) jak z jednej strony staną się ważnym zajęciem dla fotografów, tak z drugiej niemało mogą posunąć samą naukę. Niedaleką więc jest może chwila, gdy, w interesie umiejętności, przy każdej większej szkole utrzymywany będzie osobny fotografista, tak jak dziś prosektor do anatomii, laborant do doświadczeń chemicznych i t. p.

Dalsze zastosowania fotografii do rzeźby, do malowania na szkle, do inżynierii cywilnej i wojskowej i t. d., niepróbowane jeszcze u nas z powodu niedorobienia ogólnego stanu przemysłu i nauk, po wydoskonaleniu swém w zamożniejszych krajach Europy zachodniej, znajdują tutaj liczne i świetne zastosowania w sprzyjającej chwili.

Oto jest krótki zarys rozwoju fotograficznej sztuki w Warszawie. Zbierając dane pod względem statystycznym, Warszawa posiada obecnie 33 większych lub mniejszych zakładów fotograficznych, które doprowadzone są do tego stopnia doskonałości, iż wyroby ich ubiegają się o pierwszeństwo na zeszłorocznej wystawie w Londynie, a nawet zakład p. Mieczkowskiego otrzymał list pochwalny; drugi zaś z naszych pierwszorzędných zakładów, dla chwilowych okoliczności, nie mógł posłać swych prac na ten konkurs powszechny. Liczba rąk zatrudnionych w tych zakładach nie jest nam dobrze znana. W zakładzie p. Beyera od dwóch lat pracuje 20 ludzi, w zakładzie p. Mieczkowskiego 23, najuboższe zaś zakłady po dwie lub trzy par rąk zatrudniają.

Kończąc nasz zarys o fotografii w Warszawie, widzimy się jeszcze w obowiązku dotknąć przedmiotu w bezpośrednim z nią związku będącego. Mówimy tutaj o fabrykacji preparatów używanych do fotografii. Jeden z kompetentnych w tym przedmiocie obliczył w przybliżeniu, iż wartość tych preparatów rocznie w kraju zużytych dosięga dwóch milionów złotych. Summa ta całkowicie wychodzi za granicę, gdyż dotychczas nie posiadamy fabryki, któraby się na większą skalę zajmowała przygotowywaniem preparatów fotograficznych. Zamiar założenia fabryki podobnej na Pradze, o którym donosiły gazety, został na długo podobno odłożony; a szkoda, bo przeprowadzając tę myśl do skutku, nietylko że zaoszczędzono by niepotrzebny wywóz gotówki za granicę, ale fabryka mogłaby dobrze robić interesa, o wiele wyższe od powyżej podanej summy, gdyż mnóstwo fotografów z Litwy i sąsiednich z nią gubernij w Warszawie swoje potrzeby niezawodnie by zaopatrywało. Zwracamy uwagę przemysłowców na ten przedmiot, godzien dokładnego zbadania i zamienienia go w czyn, dla pożytku krajowej fotografii.

Adam Wiślicki.

## SCHERZO.

A choć mi serce pęka, śmiech mnie bierze,  
Stowacki.

### Wstęp.

Noc letnia. Księżyc pobladł z jakiegoś niewytłumaczonej melancholii i kiedy niekiedy białym obłokiem, niby chustką, obciął twarz zadumaną. Dalej gwiazdy, jak talary poprzybijane do błękitu. O takiej uroczej chwili siedział w izdebce oddzielonej od reszty strychu drewnianym przepierzeniem, jeden z tych ludzi, którym wiérse, nierozczesane włosy, długi i niektóre niedorzeczności nadaly imię *poety*. Za tą nazwą wyobrażacie sobie zapewne i twarz bladą, posępną,

(1) O ile nam wiadomo, Dr. Neugebauer, prof. wydziału lekarskiego w tutejszej szkole głównej, za pomocą fotografii zdejmował wizerunki przygotowanych przez siebie preparatów anatomicznych, do dzieła swego „Anatomia opisowa ciała ludzkiego.“ (Przypisek redakcyi).

czolo z zamyslenia jak papier pomięte, atrament, pióro, surdut wytarty, książki i papier. Wszystko tak było, dotego kąty izdebki ozdabiały pajęczyny, a otwarte okienko dawało widok na przeciwległe dachy i kominy; za kominem księżyc, a na tle księżycy sylwetka dwóch miauczących kotów, z ogonami wzniesionymi do góry. Do tego całego obrazu trzeba by dodać, że poeta był głodny, ale któryż poeta jada, zwłaszcza w powieściach, i choć żołądek tę rzecz z tragicznego stanowiska uważał, my to pomińmy jako okoliczność blahą. Siedzi poeta, oczy w powale, pióro w ustach i myśli; tylko nos jego nie szedł w górę za myślą i oczami, ale się pochylił w odwrotnym kierunku nad ogromnym kalamarzem, rzucając obfity cień na biały papier. Poeta widno w natchnieniu, bo się przeokropnie skrzywił i zmrużył oczy, jakby chciał dopatrzeć tego, co jeszcze bardzo daleko było od niego. Powoli poczał wyjmować z ust pióro i tak pisał:

Kolysana na falach zielonych,  
Wenecya do snu się już kładła,  
Ciche wody wśród gmachów rzeźbionych  
Srebrzą niby weneckie zwierciadła,  
W pięknej murów pałacowych ramie.  
Czasem z cieniów pogmatwanych sieci  
Łódź jak czarna jaskółka wyleci,  
Zwierciadlane szyby wiosłem złamie  
W srebrne listki, w tańczące fale.  
Przez mgłę światła, niby przez woale,  
Muzułmanek oczy błysnę...

Chciał ostatnią zgłoskę dopisać, gdy mu przerwało mocne puknięcie we drzwi. W tej chwili zegar na maryackiej wieży uderzył dwunastą, a gwizdawkę stróżów nocnych przedrzęźniały wielokrotnie głos jego. Poeta drgnął i zdziwił się kto w godzinie duchów do niego przychodzi.

— Kto tam? rzekł z determinacją, idąc ku drzwiom.

— Swój.

Poetę uspokoiło to zupełnie i otworzył. Zamiast spodziewanego ducha, pokazała się we drzwiach postać, w której bardzo mało ducha mogłeś na pozór dopatrzeć. Był ubrany jak wielu innych, którzy u Redolfiego *słodkie* pedzą godziny, opisując go więc nie mam potrzeby; dymyście się że miał pantalon szerokie, marynarkę kusą, czapkę francuską, rękawiczki, bakenbardy angielskie, szkiełko na nosie i t. d.

— A, pan R....

Od imion własnych wara!...

— Nie dziw się pan, że tak późno przychodzę; jest to dla mnie najwygodniejsza chwila. Po teatrze herbata, a po herbacie wizyta, to najwłaściwiej, zwłaszcza, że w tym czasie najprędzej zastać można każdego w domu.

— Proszę usiąść. Tu się zmieszał poeta, bo się wyrwał z prośbą, której przybyły zadosyć uczynić nie mógł, dla tej prostej przyczyny, że stolka nie było.

— Pan pracujesz, mówił R., patrząc na zaczęty rękopis, piszesz wiérse....

Nagle, zwracając oczy szkiełkiem opatrzone ku poecie, na którym obecność przybyłego dziwne robiła wrażenie, spytał naiwnie:

— Dlaczego pan wiérse pisze? Czy to nie intratniejby było pisać np. korespondencje, to teraz popłaca. Mam znajomego, który nie skończywszy szkół, chwycił się z rozpaczą tej gałęzi literatury, co mu zjednalo imię literata, porządne ubranie i dziś pełny pugilares.

— Mój panie, wolę swoje ubóstwo, niż dostatek tych jednodniowych żyłatek.

— A więc pan pracujesz na wieczność, na sławę. I to samolubstwo, równie jak ubieganie się za groszem, a wybierając między sławą i pieniędzmi, ja wolę pieniądze, bo to pewniejsze. Co?

Cedził te słowa pan R. powoli i biczował niemi i kusił głodnego poetę, który gnany rozbijałemi myślami, byłby latał jak szalony po izdebce, gdyby małe jej rozmiary go nie hamowały.

— Sława panie, rzekł wreszcie, to nie ostatni cel poety. Jego zadaniem kruszyć stare przesady, rzucać błyski nowych myśli, uczyć jak być powinno, słowo wydarte niebu dawać ludziom, jak Prometeusz drugi...

— Czy to ma być w pańskim utworze? spytał przybyły, ale tak ironicznie, że przysiągłbyś i uwierzył w jego diabelskie pochodzenie.

— Poemat który pisać zacząłem, rzekł poeta, ma przedstawiać człowieka, co wszystkie naszego wieku rozpacz, boleści, pragnienia, nadzieje, zagarnie w siebie i w imieniu tysięcy rozpocznie bój. Po pechnie go do tego miłość i zemsta; miłości wyrazem będzie matka jego z nad Wisły, zemstą Wenecyanka, żona jego. Te dwie potęgi będą się w nim ścierały, aż miłość zwycięży.

— Z pańskiego początku nie byłbym się tego domyślił, to coś Irydiona przypomina.... Bardzo ładne, bardzo ładne! Ale daruj pan jeśli się zapytam, na co to pan pisze, a szczególnie na co wiérsem? Zrobi pan z tego rozprawę.

— Nie piszę prozą. Pióro jest tém dla poety, czém szkie dla malarza: aby dzieło trwało, aby coraz nowe myśli wyrażało, musi być w artystyczne kształty ujęte.

— Podziwiam wiarę z jaką pan patrzysz na ludzi. Czyż wierzysz że oni odrywać się zechcą od ważnych zajęć codziennych, od jedzenia, od pracy, by długi czas poświęcić temu, co ich bawić tylko powinno? Pan mimo wiedzy przeczułeś przyszłość swojego poematu, stawiając go na tak ruchliwym i niepewnym żywiole jak woda, i to jeszcze woda kanałów weneckich, które tyle już rzeczy pochłonęły.

— Więc pan nie wierzysz, spytał z oburzeniem poeta, aby byli ludzie, co umieją czuć wartość sztuki i żyć dla niej i podnosić się przez nią?

— Nie mówmy o tém, odpowiedział z niesmakiem pan R. Rozprawę nudzą mnie i do celu nie prowadzą. Nic łatwiejszego jak udowodnić prawdę kłamstwa w rozprawie. Ja pana rzeczywistością, faktami przekonam.

— Kiedy?

— Możeby od jutra zacząć.

— Śmiało przystaję, pewny zwycięstwa, rzekł poeta.

— A ja pewność zwycięstwa na jutro sobie zachowuję. Żegnam pana, jutro czekam go w kawiarni Wieland.

To rzekłszy, odszedł, rzuciwszy szydercze spojrzenie na początek poematu.

Poeta po jego odejściu wpadł w dziwne zamyslenie. I natura, jakby czuła jego kochanka, zasępiła się. Jasne niebo i księżyc zakryły chmury; tylko koty zostały na dachu, wtórując swą muzyką myślom samotnika.

Poeta już nie pisał tej nocy więcej. To było pierwsze zwycięstwo nieznanego. Mówię nieznanego, bo poeta znał przybyłego bardzo mało, z widzenia tylko.

## I.

### Kawiarnia i literatura.

Nasz poeta, żyjący skromnie, ubogo, mało znał kawiarnie i rzadko w nich bywał. Szklanka mleka i kawałek chleba starczył mu za kawę i ciastą; to też z obawą pewną wstępował w progi Wielandowskiej kawiarni. Z początku nie widział, jeno kłęby dymu, który go krztusił, dawał i o niesłychane kichanie przyprawił. Powoli z obłoków dymu występowały bilardowe kije, szklanki, głowy, półgłówki, nosy, brody, a pośród tego gwar różnych języków, brzęk łyżeczek i t. d. Poeta przeciskał się przez ludzi, szukając jakiego kącika, w którymby się mógł bezpiecznie ulokować; usuwał się kelnerom ustrojonym we fraki, odebrał kilka szturchańców kijem bilardowym, aż dostał się do pokoju przeznaczonego na czytanie gazet. Zatrzymował już myślą nad anglomanem, który wczoraj tak żywo występował przeciw pisaniu, gdy wtém spostrzegł go siedzącego między czytającymi, z twarzą ironicznie uśmiechniętą.

— Dotrzymujesz pan słowa, rzekł angloman, podając mu dwa palce na powitanie; i ja swojego dotrzymam.

— Wątpię, rzekł poeta.

— Nie będziesz pan wątpił, rozpatrzywszy się po towarzystwie. Usiądź pan i patrz.

Poeta wodził oczami koło stołu, i zaczął wreszcie od jakiegoś jegomości łysiego, który obok niego siedział, robił kolejno spostrzeżenia.

Jegomość łysy jedną ręką mieszał kawę, drugą odpędzał z łysiny natrętne muchy; oczy wlepił chciwie w gazetę i czytał a śmiał się serdecznie, pokazując w uśmiechu dwa żółte zęby i kawałek języka.

— He, he, he! doskonale, doskonale! mruczał pod nosem.

Poeta spojrział przez ramię i przeczytał tytuł gazety: „Kladderadatsch.“

— Widzisz pan, rzekł nieznanomy, dowcip bawi, więc chciwie gonią za nim.

Poeta zmarszczył czoło, skrzywił się jak po kwaśnej kapuście i oczami skoczył na drugiego jegomościa. Była to twarz prawdziwie Mefista, godna pendzla malarza, twarz chuda, pełna zmarszczek w najrozmaitszych kierunkach rozbiegających się; oczy małe, trochę skośne; nos haczykowaty ciekawie zaglądał w usta; broda naprzód wystająca posyłała nosowi pozdrowienie w postaci kilkunastu włosów mocno wywosk-

wanych. Kiedy niekiedy usta szeroko się rozściierały i wtedy poeta słyszał następujące wyrazy:

— Ma się rozumieć, wcale nieźle.

— Jak widzę zajął pana ten jegomość, rzekł nieznajomy. On czyta „Nowiny ze świata.“ Pismo to wydaje jego dobry znajomy, ma więc sobie za obowiązek przeczytać je, by ucieszyć tym wydawcę. O patrz pan ot i redaktor.

Przybyły uściśkał chudego Mefistę, siadł obok niego z uśmiechem zadowolenia i krzyknął na kelnera:

— Dwie porce kawy i cygara!

— A któż jest ten jegomość z przymrużonymi oczami, tak pilnie czytający gazetę? spytał poeta.

— Który? ten w jasnych rękawiczkach, z Dziennikiem literackim w ręku?

— Tak, z Dziennikiem. Widzisz więc pan, że pismo poświęcone sztuce ma swoich miłośników.

Nieznajomy zasadił flegmatycznie na nos okulary i rzekł:

— A, ten pan, to korespondent, odczytuje swój artykuł w Dzienniku, delektując się nim i wściekając się na zecera za błędy.

Poeta poccił się z oburzenia. Na nieszczęście chustki zapomniał w domu. Jest to drobnostka w obec natchnienia poety, ale zawsze nieprzyjemność.

Otarł twarz ręką i zwrócił się na drugi koniec stołu, gdzie siedziało kilku panów, trzymając w ręku polityczne gazety jak: Presse, Opinion Nationale, Neueste Nachrichten i t. d. Twarze tych ichmościów były poważne; wszyscy w lewych rękach trzymali gazety, prawą kręcili wąsy lub brody, a kto nie miał tych honorowych oznak męskości, gładził czub.

— Patrz pan, mówił drwiąc nieznajomy, czytają o Napoleonie, o obecnych wypadkach. Chodzą teraz myślą około Napoleona i dlatego tak spoważniały im miny; za chwilę przestaną czytać, by mówić o tym co czytali, by dawać rady Napoleonowi, by jakąś słowami stawiać i burzyć świat, by wyprowadzać wnioski z przypuszczeń. Jest to umiejętnie próżnowanie. Ten czyta, by miał o czym rozpowiadać swemu zwierzchnikowi biurowemu; tamten dlatego, że inni czytają; ów, bo do biura czas jeszcze, a na dworze deszcz pada. Chodź pan po mieście, zbieraj nowiny, pisz, a banknotowy wieniec będzie sowitą nagrodą za twe trudy.

— A jak czasem niema o czym pisać?

— To skłamać a pisać....

Poeta zgłupiał.

— A jak się kłamstwo wyda?

— To je odwołać, a odwołanie już będzie treścią następnego artykułu.

— Ależ to tyle co drwić z ludzi.

— Będą pana czytać. O, patrz pan, jak chciwie czytają to, co jutro będzie odwołane.

— Jeżeli tak chciwie czytają gazety, tym chciwiej powinni czytać pisma czysto literackie, które nie trzymając ich w granicach „dzisiaj“, wybiegają z nimi w przeszłość, w niebo.... Czy tu takich pism niema?

— Owszem są. Patrz pan, Tygodnik Ilustrowany leży przy oknie.

W tej chwili Tygodnik porwał jakiś poważny człowiek w okularach, usiadł pod oknem, jedną ręką podparł zamyśloną głowę, a drugą poprawiał co chwila okulary na nos mu spadające.

Ucieszony tym widokiem, poeta zwrócił uwagę nieznajomego na tego jegomościa.

— To professor, odrzekł nieznajomy. Biedak z żoną nieszczęśliwy, więc rzadko w domu siedzi. Ma paszka odgadywać rebusy i nad tym właśnie się biedzi. Szarady, rebusy, to jedyna pociecha jego życia. Dobry człowiek!....

— Mam, mam! krzyknął nagle professor pod oknem.

Kilku ciekawych skupiło się koło niego, a on tłumaczył rebus:

— O panowie. W-szelki czło-wieko o-świat-ę starać się po-winien....

Brawo! brawo! zawołało kilku.

Professor ucieszony zatarł ręce i poszedł do drugiego pokoju, szukać nowego rebusa, niby nowego wroga do walki.

Poeta ruszył z politowaniem ramionami nad człowiekiem, który się o oświecie w ten sposób starał i już chciał wychodzić, gdy wzrokiem zatrzymał się na dwóch młodych, biorących Dziennik literacki do ręki.

— Czytałeś wiersh „Tytany“?

A „Tytany“ były jego. Załaskotało to trochę próżność i ciekawość poety i został.

— Czyj to wiersh?

— Jakiegoś Kr.

— To pewnie pseudonim.

— Zdaje się.

— Pokażno. Spojrzał, przewrócił kartkę i rzekł: O to diabelnie długie!

Poecie zimno się zrobiło, a tamten dalej pytał swego towarzysza:

— Czytałeś?

— Niecałe, bo mnie Edward do billardu zawołał.

— I czegoż dowiedziałeś się z tego?

— Jest to niby allegorya; poeta pokazuje jak tytańska odwaga tytańską siłę daje, przed którą i niebo truchleje.

— A, to już nie będę czytał, choć wiersh zdaje się gładki. Chodźmy grać w szachy.

Poeta poczerwieniał ze wstydu, kręcił się niespokojnie na stołku i kilka razy szturchnął przypadkiem lysego jegomościa. A nieznajomy rzekł:

— Patrz pan, o wieleby to lepiej było, żebyś zamiast wierszy, treść ich podawał. I panu i czytającym byłoby z tym wygodnie.

— Tą kawiarnią pan nie zbijesz mojego przekonania o wzniosłości sztuki i o wpływie jej na ludzi. Tu nie przeczę, że marnieją słowa poetów; ależ to nie wszystko tutaj.

— Tu ognisko oświaty, jak powiada prokurator narodu.

— Skłamał, zawołał poeta tak silnie, że kelner, sądząc iż na niego zawołano, przyskoczył z serwetką.

— Befehlen?

Poeta ostudziło to zapytanie; kazał sobie podać wody z cukrem i tak dalej mówił do nieznajomego:

— Za nicze pan uważasz ludzi uczonych?

— Którzy czytają książki, by wiedzieć co w nich jest i co o nich napisać? dokończył skwapliwie nieznajomy.

— Przypuśćmy że tak jest. Ale czyż niewarto pisać dla tylu dworów staropolskich, dla tylu serc, co biją dla miłości, prawdy i piękna?

— Jeżeli serca ich są pełne miłości, prawdy i piękna, to poco ich tego uczyć, poco im o tym pisać?

Poeta nie miał na podreżcu odpowiedzi. Zostawił ją sobie na czas wolniejszy, a tymczasem rzekł:

— Przyznaję panu chwilowe zwycięstwo. Ale literatura jest tylko jedną gałęzią sztuki, może najwięcej liczącą w sobie niepowołanych, a więc najwięcej zbezcieszoną i pogardzoną. W innych gałęziach sztuki rzecz się ma inaczej: malarstwo i rzeźba wielki wpływ wywierają na ludzi.

Anglomani, zamiast odpowiedzi, podał rękę poecie i wyprowadził go na ulicę.

— Gdzie mnie pan prowadzisz?

— Na wystawę sztuk pięknych. Po drodze wstąpimy może do biblioteki. Tam pan zobaczysz ludzi chciwych wiedzy, czytania....

— O nie, tam pustki, rzekł poeta.

— To może wstąpimy do jednej lub drugiej księgarni, przypatrzymy się kupującym. Ot, widzisz pan tę nową księgarnię? Próżno chciałbyś dopatrzeć na wystawie tytułów nowych książek; wszystkie zasłonięto fotografiami, obrazkami. Początkujący ale mądry księgarz, wie co popłaca. Szkoda że jedna tylko księgarnia handluje szczecina, bo i to popłaca.

## II.

### Wystawa obrazów.

Minęli księgarnię i weszli na Bracką ulicę, na wystawę obrazów.

Właśnie gdy wchodzili, młody jakiś artysta przedstawiał członkom Towarzystwa dwie kopie z Tycjana i Tintoretta. Najmniejszy a najgrubszy z członków zapytał o cenę.

— Sto pięćdziesiąt reńskich za każdy, rzekł artysta.

— Ależ dla Boga, co pan mówi? Patrz pan, prace niemieckich artystów jakie tanie, a jakie ładne. O, te małpy, co to za życie, co za natural... I wskazał na obraz przedstawiający rodzinę małp.

Artysta oburzony wodził oczami po małpach i po członkach i rzekł:

— Mnie się zdaje, że wierne i pracowite kopie dzieł sławnych malarzy więcej zapoznają publiczność z tajemnicami sztuki, niż te małpy.

— Być może, rzekł trochę zmieszany członek: Towarzystwo nie może być stronniem i w wszelkim kierunku dzieła sztuki skupować musi, zwłaszcza jeżeli przystępne są w cenie. Pańskiego obrazu kupić nie możemy, chyba kto z amatorów się zdarzy.

Poszli dalej poeta ze swoim przewodnikiem, niby Dante z Virgilem, niby Faust z Mefistem, a za każdym krokiem przewodnik zdierał przed oczami poety złudne szaty i pokazywał mu prawdę nagą z najbrzydszej strony.

— Widziałeś, mówił do poety, tych od których los artysty zależy; zobacz teraz tych, którzy dają sławę artystcie. Widzisz owych kilku ludzi młodych, nieśmia-

ło patrzących w oko; skupili się jak owce i słuchają zdań o swych obrazach. Przypatrz się teraz temu wysokiemu mężczyźnie, z butnym wyrazem twarzy, z jasnymi wąsami, w białych pantalonach. To hrabia-amator.

Hrabia wyprężył się przed jednym obrazem, zadzwonił jedną ręką łańcuszkiem u zegarka, a w drugiej trzymał szkiełko. Schylił się ku obrazowi i przeczytał: 3000 fl.

— A to szalone ceny! to majątek stracić można!

Poszedł dalej: znowu podobna poza, znowu pochylenie głowy i przeczytał: 800 franków.

— To ładne, ładne.

A dalej 300 fr. i t. p. Chodził patrząc więcej na ceny, niż na obraz.

Przed obrazem Zosi z pana Tadeusza zatrzymał się jakiś książę, a z nim ci wszyscy co żyją z księcia, lub którym pachną książęce słowa.

Obraz przedstawiał Zosię w rannem ubraniu, stojącą na parkanie; w okolo pełno kwiatów, które po wiérzchu drasnęło już światło zaranne, a u spodu drzewały jeszcze cienie; u nóg dziewczęcia gołębie, w dali drzewa i topole.

— Na honor, rzekł książę, gdyby Mickiewicz wstał z grobu, toby drugi raz położyć się musiał, zobaczywszy tę karykaturę. Do tego krajobraz nie polski, nie litewski, ale włoski; a co za pstrocizna w kolorach!

Książę odszedł. Za chwilę przechodził koło Zosi kasztelan z żoną i córką.

— Patrz kochanie, rzekł kasztelan, co to za śliczności: ta Zosia w papilotach, to bogactwo kolorów w kwiatach, tak harmonijnie zlewających się ze sobą, to cudowne rzeczy!...

Przewodnik się rozśmiał i spytał poety:

— Kto miał słuszość, książę czy kasztelan?

— Książę ma słuszość, rzekł jeden z członków.

— A czemu? spytał naiwnie poeta.

— Bo książę, rzekł drwiąco przewodnik i poprowadził poetę przed jeden obraz bardzo mizerny, malowany twardo, bez rysunku i bez natchnienia.

— Ależ to lichota, takich rzeczy wystawa przyjmować nie powinna, rzekł z oburzeniem poeta.

— O tym obrazie recenzja wyraziła się pochlebnie, odrzekł na to z flegmą przewodnik.

— Ależ to niegodnie....

— Cicho, obrazisz autora i recenzenta, obadwaj tam stoja.

— I cóż spowodowało recenzenta do takiej niesprawiedliwości?

— Żyje z autorem w przyjaźni i często gęsto otrzymuje w podarunku obrazy.

Przed obrazem Madonny zastali księdza proboszcza z kuzynką. Kuzynka, trzymając w ręku spis obrazów, czytała głośno, deklamując trochę. Jegomość rękę zwinął i przez kułak jak przez lunetę patrzył na obrazy. Zdarało mu się, że trzymając tę naturalną lunetę przed sobą, często gęsto potknął się o kogo; wtedy mocno przeproszał i znowu wracał do dawnej pozycji.

— Matka Boska Sykstyńska, zaintonowała kuzynka.

— Gdzie? gdzie? A, a, a, o przesłiznie! można powiedzieć przesłiznie! To mojem zdaniem najlepszy obraz na całej wystawie.

— A to Wybawienie z niewoli bisurmańskiej, ciągnęła dalej córka, stając przed obrazem Löflera.

— A przez kogo?

— Przez trynitarza, dośpięwała kuzynka.

— No proszę.

Poeta parsknął głośnym śmiechem. Ks. proboszcz obejrzał się i zmieszał, myśląc azali czegoś niedorzecznego nie powiedział i usunął się na bok. W drodze jeszcze, wracając do domu, zastanawiał się nad tym, co mogło miejskich fireyków tak rozśmieszyć.

— No pokażcie nam pan coś ładnego, odezwał się głos jakiś za ich plecami.

Głos ten należał do grubego jegomościa, który dzierząc małżonkę równych rozmiarów pod pachą i otoczony pięciorgiem dzieci, wtoczył się na wystawę i obchodził ją pod kierownictwem wysokiego członka Towarzystwa, (mówię tu o wzroście).

— To jest panie, mówił członek, komnata z końca XVIII wieku.

— Jadziu, a to wyrznij kacie tak jak u nas! To ładne, mocumdzieju, to ładne! A ten piesek, niech go kaci porwał!...

— To zamek krakowski, ciągnął dalej członek.

— A, poznałem od razu, doskonały, doskonały! Kubciu, Anielciu, Franiu, patrzcie przez kułak. Dzieci! nie dotykać mi się obrazów, bo to mokre i tłuste i drogie.

(Dokończenie nastąpi).